Nr. 180. Lwów — Wtorek dnia 8 Sierpnia. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują: Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 8 ...

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi ...

CENA OGŁOSZEŃ ...

Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika Nr. 8

Dziś: św. Cyryaka W.	Pantelejmona	Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45	Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.	Wschód słońca g. 4 m. 52	Długość dnia g. 14 m. 26
Jutro: św. Romana i Sek.	Prochora i Nik.			Zachód „ 7 „ 18	Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 7 sierpnia.

Co roku w porze letniej urządzają socyaliści w jednem z większych miast europejskich kongresy międzynarodowe, których zadaniem jest zbliżyć do siebie zwolenników po wszystkich państwach wyznawców nauk Marxa i Lassalle'a, ujednostajnić poglądy na kwestyę socyalną i dać wskazówki, w jakim kierunku powinna się odbywać agitacya przez następnych dwanaście miesięcy. Tegoroczny kongres rozpoczął się wczoraj w Zurychu i obradować będzie aż do soboty, t. j. do 12 sierpnia. — Gdyby się spytano którego z socyalistów, jaką korzyść przyniosły dotychczasowe kongresy, byłby w wielkim kłopocie, co ma na to odpowiedzieć, nie mógłby bowiem pokazać ani jednego dodatniego rezultatu, gdyż te ustawy, które państwa ostatniemi czasy wydały na korzyść robotników, nie są bynajmniej owocem socyalistów, lecz przeciwnie stronnictw konserwatywnych o nie się dobijały i one je uchwaliły. W Niemczech wydano ustawy o zabezpieczeniu robotników od wypadków i na starość wtedy, gdy socyalistów już lekceważyć poczęto i zniesiono bismarkowskie ustawy wyjątkowe. W Austryi, gdzie socyalizm jest tak słaby, że nikt na seryo z nim się nie liczy, tylko konserwatywne stronnictwa pomyślały o tem, aby państwo przyszło robotnikom z pomocą w razie nieszczęśliwego wypadku lub choroby. — Z inicyatywy konserwatywnych stronnictw wyszły ustawy o zabezpieczeniu robotników od wypadków, o kasach chorych, w ogóle wszystkie te reformy, które jaką taką ulgę przyniosły klasie pracującej, a stało się to nie w skutek obaw przed socyalizmem, lecz dlatego, że długie panowanie liberalizmu istotnie naruszyło sprawiedliwy stosunek między pracą a płacą. Socyalistom jednak robotnik nie ma nic do zawdzięczenia, bo za ich staraniem ani dola jego w niczem się nie polepszyła, ani pojęcie jego wykształcenia się nie podniosło, owszem, gdzieniegdzie okazało się wyraźne zdziczenie obyczajów. To też jako odpowiedź na kategoryczne pytanie: „Co zrobili dotychczas socyaliści swoimi kongresami?" usłyszećby można tylko frazes, że wszystko dobre samo z siebie kiedyś przyjdzie, skoro tylko grunt będzie przygotowany, a kongresy socyalistyczne właśnie to robią. Gdzież tam! Z programów i uchwał wszystkich kongresów poznać można aż nadto wyraźnie, że kierownikom ruchu socyalistycznego idzie tylko o to, aby zburzyć to, co istnieje, a o tem, co na tem miejscu ma powstać, jaką rzecz ulepić mają z gliny, którą w swych rękach ugniatają, o tem wszystkiem nie mają nawet jasnego pojęcia.

To też widoczne owoce wszystkich kongresów socyalistycznych są dotychczas tylko te, że szerokie masy ludności deklamują frazesy, których same nie rozumieją, domagają się rzeczy, które nimi jeszcze szczęścia nie zapewnią, urządzają bastowki, przesiadują w szynkowniach, jednem słowem obrażają Boga i krzywdzą siebie i swoje dzieci.

Taki też będzie skutek kongresu zurychskiego, który wczoraj rozpoczął swoje obrady. Program jego jest obfity, wniosków zgłoszono bardzo dużo, ale ani jednego naprawdę poważnego, lub choćby takiego, który zawierałby bodaj źdźbło myśli praktycznej.

Oczywiście na czele programu stoi ośmiogodzinny dzień roboczy. Za podstawę dyskusyi nad tą sprawą posłuży wniosek socyalistów szwajcarskich, którzy domagają się, ażeby w następujący sposób dążono do uzyskania ośmiogodzinnego czasu pracy: agitacya ma być zorganizowaną na dwojakiej podstawie: międzynarodowej i narodowej. Pierwszą prowadzić mają socyalistyczni posłowie we wszystkich parlamentach europejskich, a w tym celu powinni stanowić jeden związek i działać w porozumieniu na podstawie z góry obmyślonego planu, pomagać im zaś mają związki robotnicze walką z pracodawcami. W jaki sposób tę walkę prowadzić należy, to pozostawia się do woli każdemu związkowi robotniczemu.

Drugim punktem programu jest święcenie 1 maja, trzecim zaś: taktyka polityczna socyalistów. Do tego punktu zgłoszono dwa wnioski, jeden socyalistów holenderskich, drugi szwajcarskich. Wniosek Holendrów opiewa: 1) Ze względu na to, że walka klas nie może być załatwioną w parlamentach, uchwali kongres, że wybory służyć mają tylko za środek agitacyjny, a posłowie socyalistyczni po to tylko mają zasiadać w parlamentach, aby przy każdej sposobności protestowali przeciw kapitalistycznemu ustrojowi społeczeństwa, a nie po to, aby brali udział w pracach parlamentarnych, przyjmowali projekty ustaw itp. 2) Kongres oświadcza się, co myśleć o dążeniach tych socyalistów, którzy agitują za wydaniem takich ustaw na korzyść robotników, jakie w danem społeczeństwie można osiągnąć i którzy z socyalizmu chcą zrobić tylko kwestyę płacy, tylko pewien rodzaj państwowego socyalizmu. 3) Kongres zbada, czy możliwem jest porozumienie się między rewolucyjnymi socyalistami a komunistycznymi anarchistami.

Pytamy, co za korzyść odniosą robotnicy z uchwały kongresu, że posłowie socyalistyczni po to jedynie mają zasiadać w parlamentach, aby nic nie zrobić? że ci, którzy dążą do uzyskania takich ustaw korzystnych dla robotników, jakie są w danej chwili możliwe, zdradzają sprawę socyalną? że wreszcie socyaliści i anarchiści mają się połączyć?

Szwajcarscy socyaliści w swoim wniosku domagają się, aby nie parlamenty wydawały ustawy, ale cały naród przez t. z. „referendum". Chcielibyśmy wiedzieć, ile stuleci potrzebaby na uchwalenie w ten sposób n. p. nowego kodeksu karnego w Austryi. Komisya nieustająca, w której zasiada tylko dwudziestu kilku ludzi, lata już obraduje nad nim i jeszcze obrad nie skończyła, cóżby to było dopiero wtedy, gdyby w dyskusyi wzięło udział dziesięć milionów wyborców!

Ostatni punkt programu obejmują rozmaite wnioski członków kongresu i związków socyalistycznych w całej Europie. Tu już spodziewać się można prawdziwej farsy. Jeden naprzykład wniosek socyalistów holenderskich domaga się, aby socyaliści wszystkich robotników nauczyli się wolapiku; inny wniosek proponuje rodzaj mundaru, jednego dla wszystkich robotników na całej kuli ziemskiej, tylko kwestya jakiego: czy kożucha, który dla Grenlandyi, czy też lekkiej bluzy, noszonej na południu! Co byłoby skutkiem takich wniosków [illegible] jeszcze jeden: jak najprędzej zaprowadzić powszechną [illegible]?

Jak wiadomo, niedawno w Nowym Sączu, na bardzo nielicznym zjeździe politykujących włościan, za którymi w roli maszynistów i reżyserów stoją oczywiście wcale niewłościanie, uchwalono założyć „stronnictwo chłopskie." Ambicya różnych „dobroczyńców ludu" zapewne przeznacza temu stronnictwu taką rolę na zachodniej części kraju, jaką we wschodniej pełni sprawie świeżo założone w Kołomyi stronnictwo chłopsko-radykalne „Narodna Wola." Równocześnie te stronnictwa powstały i tak samo sztucznie, t. j. tu i tam włościanie byli maryonetkami, [illegible] pociągali tych kręcaczy.

Stronnictwa chłopskie gdzieindziej już istnieją i znaczą, bo powstały wtedy, gdy stosunki lokalne stworzyły dla nich racyę bytu, a zrozumienie rzeczy publicznej dostatecznie się rozwinęło w sferze włościańskiej. U nas takie stronnictwa muszą jeszcze być utworami sztucznymi, bo nie mamy odrębnych interesów chłopskich i może da Bóg nigdy mieć nie będziemy, a oprócz tego nasz ogół włościański jeszcze nie dorósł do samodzielnej dodatniej działalności w dziedzinie politycznej, ekonomicznej i społecznej. Dlatego utrzymujemy, że nie rzeczywista potrzeba, ale egoizm i ambicyjki zręcznych agitatorów, grających rolę „dobroczyńców ludu", powołały te stronnictwa do życia. Stąd zaś wynika, że działalność owych stronnictw dodatnią być nie może, albowiem do niej nie ma pola, a nadto kierownictwo spoczywa w rękach agitatorskich. — Tak jest, odrazu to się pokazuje z „kwestyonarza", rozesłanego przez „zarząd" stronnictwa chłopskiego członkom jego. Dokument ten poleca im co następuje:

I. Zebrać przykłady z tych obszarów dworskich, których grunta nie stanowią łącznej całości, lecz rozerwane leżą wśród gruntów gminy, przyczem niepodobna wykonywać obowiązków publicznych, bo przerwany jest okręg jurysdykcyi wójta i przełożonego obszaru.

II. Czy obszary dworskie dają forszpany dla urzędnika, dla wojska?

III. Jakie ciężary mają gminy z powodu stacyi szupasowych? Czy obszary dworskie mają z tego powodu jakie ciężary?

IV. Jakie ciężary ponoszą gminy i które z powodu przytrzymania wagabundów i żywienia ich aż do znalezienia miejsca przynależności?

V. Jakie ciężary ponoszą gminy z powodu przytrzymania i dostawienia złoczyńców, złodziei itd. utrzymania aresztów? Czy obszary dworskie ponoszą jakie ciężary z tego powodu?

VI. Jakie ciężary ponoszą gminy z powodu pomocy w odszukaniu i ściganiu złoczyńców, a jakie obszary?

VII. Jakie ciężary ponoszą gminy przez dostawienie pomocy rządowi w egzekucyi należytości skarbowych w gminie, a nawet na obszarze, a jakie obszary?

VIII. Jakie ciężary ponoszą gminy przy utrzymaniu ewidencyi urlopników, popisowych, rezerwistów, pospolitaków, przy asenterunku ludzi i koni? Czy są obszary, które prowadzą podobne ewidencye i podobną dają pomoc przy asenterunku itd.

IX. Jakie ciężary ponoszą gminy przez kwaterunki wojska?

A zatem „zarząd" stronnictwa chłopskiego, czyli sztab armii jeszcze nieistniejącej, już tworzy antagonizmy. Troszczy się nie o chłopów, lecz o obszary dworskie z oczywistym zamiarem wywołania jakichś nieistniejących kwestyi. Widoczna w tem ręka agitatorów, ale widoczne i złe skutki, jakie z tego być mogą. Przypuśćmy, że wszystkie powyższe pytania wypadną na niekorzyść obszarów dworskich — otóż i będzie temat do agitacyi przeciwko dworom. A jeśli w skutek tego sztucznie dziś zasiewane przeciwieństwa kiedyś staną się rzeczywistemi, to nie można będzie wziąć za złe obszarom dworskim, jeśli wystąpią przeciw różnym opłatom, czynionym dziś przez nie na rzecz gmin, jak np. przeciw dodatkowi na szkołę ludową, albo przeciw za wielkiej stosunkowo daninie na drogi gminne. Tam, gdzie dziś jest zgoda i wspólność interesów i pomoc ze strony majętniejszego, powstanie rozdział, chłód, nieufność, potem otworzy się przepaść i powstanie walka drobiazgowa a jątrząca i ciągła, nie o to, kto lepiej krajowi usłuży, kto do jego rozwoju snadniej się przyczyni, lecz o to kto kogo obciąży, aby sobie ulżył nawet i w tem, co mu wcale nie dolega.

Niefortunnie tedy zaczyna swą działalność „zarząd" nieistniejącego jeszcze naprawdę stronnictwa chłopskiego. Temu sztabowi bez armii odrazu trzeba zajrzeć prosto w oczy i dla dobra kraju, dla spokoju w nim odepchnąć agitatorów obsiadających włościan, dopóki jeszcze czas.

Jest to zadanie samego społeczeństwa, a w niem przedewszystkiem duchowieństwa i dworów, które opieką i serdeczną troskliwością o włościan powinny tak wzmocnić swój wpływ moralny na gminy, aby żadne usiłowania burzycieli nie przeniknęły pod chłopską strzechę.

KORESPONDENCYE.

Londyn 2 sierpnia.

Poważne niebezpieczeństwo zagrażało niedawno londyńskiemu City, które jest, rzec można, osią olbrzymiego handlu angielskiego. Na rogu ulicy St. Mary Axe i Burystreet, wybuchł pożar. Ogień powstał rano, a zanim go spostrzeżono i zanim pojawiła się straż ogniowa, już dach spalony na jednej z kamienic zawalił się i kilka sąsiednich domów stało w płomieniach. Pomimo trzydziestu parowych sikawek i licznych oddziałów wybornych strażaków, pożar nie dał się całkiem zlokalizować, lecz pochłonął 25 domów, po obu stronach wspomnianej ulicy. Szkoda wynosi około 2 miliony funtów szterlingów, czyli do 25 milionów zł., ale mieszkańcy Londynu zadowolnieni są, że się na tem skończyło, że nie poszło z dymem całe City, że nie spłonęły takie bogactwa, jakie znajdują się na bliskiej giełdzie zbożowej, giełdzie na kawę, herbatę, cukier, wełnę, w składzie wschodnio-indyjskich artykułów, lub na największym w Londynie targu ptactwa t. zw. Leaden-hall-Market.

Nie znającemu stosunków angielskich, a zwłaszcza londyńskich, zdanie to wyda się niezawodnie przesadnem. „Jakto? — pomyśli sobie — czyż to możebne, aby największej europejskiej stolicy, która do rozporządzenia ma miliony i najnowsze wynalazki, zagrażało tak wielkie niebezpieczeństwo od pożaru?" Nieprawdopodobne to a jednak prawdziwe, jak wiele innych nieprawdopodobieństw w Anglii.

Dzielnica londyńska, zwana City, dusza stolicy Anglii, należy do najstarszych a jest tak fatalnie zbudowaną, że przedstawia jakby umyślnie przygotowany żer dla wielkiego pożaru. Mnóstwo w niej ulic i uliczek poprzecznych, krętych, wijących się, pełnych zaułków, a tak wązkich, że już nie o rozminięciu się dwóch wozów, ale o zajechaniu tam jednym wozem, nie ma ani mowy. Wszystkie prawie domy na St. Mary Axe, Leaden-hall-street, Bevis Market, Bury-street i t. d., — mieszczą jedynie tylko biura przeróżnych banków, handlów i przedsiębiorstw. Zazwyczaj zwożą się tu tylko próbki towarów, składy bowiem właściwe znajdują się w dokach nad Tamizą, jednak już i te „próbki" wystarczają na zapełnienie od góry do dołu tych zazwyczaj cztero i pięciopiątrowych domów. Naturalnie, na takiej Lombard-street, nie brak i wspaniałych pałaców z przepysznemi fasadami, połyskujących marmurami, a stanowiących siedziby wielkich banków, które tu gnieżdżą się jeden obok drugiego. W ogóle jednak domy na wyliczonych powyżej ulicach, nie odznaczają się żadnym wykwintem, a budowane były w ogóle bardzo niedbale. Rzadko kamień stanowi ich fundamenta, a mury, wznoszone z palonej cegły, mają w poprzecznych ścianach nieraz jednę tylko cegłę szerokości.

I takie budy, jak je słusznie nazwać można, wrą co rana gorączkowem życiem, miliony i miliony płyną szerokim strumieniem. Domy niemal wyłącznie zajęte są na składy, biura, banki i kantory, nikt też w nich nie mieszka prócz stróżów lub tu i ówdzie jakiegoś urzędnika. Stąd więc dzielnica, wrąca życiem i ruchem niezmiernym w godzinach biurowych, nagle popołudniu obumiera i pustoszeje. Każdy kupiec angielski, mający swój kantor w City, około 3 godziny po południu poleca zamykać „interes", a sam biegnie do banku, gdzie w czekach, wekslach i gotówce, składa całodzienny dochód.

A ów dziwny kontrast między niesłychanemi bogactwami dzielnicy a niedbalstwem jej budowli, ma źródło swe w innej znów osobliwości londyńskiej. Trzeba bowiem wiedzieć, że grunt, na którym stoi City, stanowi niemal cały t. zw. „Lease" czyli własność kilku lordów, którzy go wydzierżawiają pod budowę. Z rzadka tylko znajduje się więc dom będący „wolną własnością" po angielsku „Freehold". Lord taki oddaje komuś kawał gruntu w dzierżawę na lat 99 i więcej o nic się nie troszczy, po upływie zaś owego terminu może dzierżawca odnowić kontrakt, albo (grunt) powraca do lorda z wszystkimi budynkami, jakie na nim powstały. Rzecz więc prosta, że kupiec, który musi płacić dzierżawę za grunt, stara się go jak najbardziej wyzyskać, buduje więc jak najciaśniej, a buduje licho, bo nie może wiedzieć, czy po upływie terminu lordowi nie przyjdzie ochota odebrać mu grunt, a wtedy przepada kapitał włożony w budowę.

Dzięki owemu systemowi dzierżawnemu, skazany został także na zagładę jeden z najstarszych teatrów, Drury Lane, istniejący od lat 266, gdzie święcili swe tryumfy tacy artyści jak Garrick, Kean, Beaucicault — teatr, który zajmuje jedną z największych i najświetniejszych kart w historyi dramatu angielskiego, a obecnie pod kierownictwem sir Augusta Harrisa, cieszył się wielkiem powodzeniem. Jeszcze przed tygodniem oklaskiwano tu komedyę francuską, a teraz nad gmachem tym zawisł już wyrok zagłady, wydany przez lorda Bedfordu, Odziedziczył on niedawno tytuł i majątek olbrzymi po ojcu i bracie, którzy obaj zginęli samobójczo. Nowy lord gorliwie się zajął pomnożeniem swych dochodów. Podniósł czynsze o 40.000 funtów szterlingów, czyli przeszło pół miliona zł., a ponieważ grunt, na którym stoi teatr Drury Lane, jest jego własnością, postanowił go zburzyć, a na tem miejscu poprowadzić całą sieć uliczek, obliczył bowiem, że dzierżawa tej przestrzeni pod budowę kamienic przyniesie mu większe zyski. Wandalizm taki musi oburzyć każdego, tem goręcej zaś oburza Anglików, że poszanowanie tradycyi i pamiątek przeszłości jest tam większe, niż gdziekolwiek indziej. Każdy Anglik z głęboką czcią zbliża się do murów, które pamiętają dawne dzieje i chętnie w obchodach jubileuszowych oddaje cześć starodawnym instytucyom.

Świeżo mieliśmy tu znów 500 letni jubileusz szkoły winchesterskiej. Kolegium to, dające klasyczne wychowanie swym uczniom, nosi ciągle nazwę *pulchra mater* (piękna matka), a choć inne młode kolegia jak Rugby, Harrow lub Eton które nawet przybrało nazwę *Filia pulcherior* (piękniejsza córka) rywalizują z niem gorliwie, nie zdołało to przyćmić jego blasku. Na uroczystość przybyło tysiące dawnych uczniów kolegium, wygłoszono mowy łacińskie, sławiąc klasyczne wykształcenie, wręczono laureatom medale złote i srebrne, a co chwila rozlegały się śpiewy, najczęściej zaś tradycyjny śpiew szkoły winchesterskiej *Dulce domum*, przeciągły melancholijny, o którym powiadają sobie, że skomponowany został ongiś przez ucznia, za karę zamkniętego do kozy.

Nauka angielska poniosła w tych dniach dotkliwą stratę przez śmierć 80 letniego Johna Rae, słynnego z podróży podbiegunowych. Rae wsławił się najbardziej przez odszukanie wyprawy Franklina i przywiezienie do Anglii, po czteroletniem poszukiwaniu, 1854 r., szczątków po wielkim podróżniku. Sir John Rae był pięknym starcem, ruchliwym i energicznym aż do ostatnich dni swoich; otoczony czcią ogólną, w posiadaniu najwyższych naukowych godności, obdarzony tytułem baroneta, pozyskał nagrodę 10.000 funt. za odszukanie Franklina. Był on największą powagą w kwestyach, odnoszących się do mórz polarnych i Eskimosów, których język znał wybornie.

Wielką uciechę sprawiła w silnej i ufnej w swą potęgę Anglii wiadomość o petycyi Egipcyan do sułtana o... wypędzenie Anglików z Egiptu! Przytaczamy petycyę tę w dosłownem brzmieniu. Nawet na obojętnym czytelniku w pierwszej chwili robi ona wrażenie humorystyczne, jednak później trudno się oprzeć uczuciu pewnej melancholii, jaka nas ogarnia

---

48)

ICH SYN

Powieść współczesna

przez

HAJOTĘ.

(Ciąg dalszy).

Pan Hantower błysnął mocno oczami.

— No, ja się też ucieszyłem, że się urodzą. Ja na to moich osiem tysiąców odżałowałem. Ojciec pani Dalenieckiej wielki gwałtownik był. Jego żona to się całkiem zamartwiała i umarła. On mnie raz mówił przez zaciśnięte zęby, za drzwi wyrzucił i nogą skopał. No, to ja wtedy poprzysiągłem sobie, co do tego dworu, z którego mnie jak psa wypchnął, jeszcze kiedyś jak pan wejdę. Ja żyd jestem, ale u mnie zawziętość taka jest za moję krzywdę, jak na żaden interes, niechby on się i samem złotem kapał.

Głos jego stawał się świszczącym. Położył pięść ściśniętą na biurku i uderzając nią w drzewo, własnemi słowy roznamiętniony mówił dalej:

— Teraz już pewno i stracone jest. Ale ja panu powiem: niech pan mnie dziś Wiedrzówkę w ręce da, a ja panu na ten stół trzy tysiące rubli położę. Jakem Hantower.

Chuda twarz Redłuskiego z cytrynowej stała się pomarańczową.

— Położyłbyś pan pięć? — zapytał nagle, wlepiając w żyda przeszywające go do głębi spojrzenie.

Tamten rzucił się niecierpliwie.

— Co my będziem targować się o pierze, kiedy gęś uciekła — burknął. — Ja już drugi raz na hypotekę Wiedrzówki nie wlezę. Ten Dyamentowicz, niech jego dyabli... zwąchał pismo nosem; no, a oni jej z wolnej ręki nie sprzedadzą.

Teraz Redłuski pochylił się ku niemu. Wyciągniętym palcem swej nerwowej ręki dotknął jego ramienia i wytrzymał go tak przez chwilę pod swym bystrym szatańską przebiegłością migocącym wzrokiem.

— Mój kochany panie Hantower — rzekł, opuszczając się znowu na fotel. — Jak to widać zaraz, że przez całe życie z pieniędzmi i tylko z pieniędzmi miałeś do czynienia. Pan sobie wyobrażasz, że dla ludzi nie ma innych sroższych przymusów nad sekwestr lub subhastę. Prawda?

Tamten patrzał na niego, jak zahypnotyzowany.

— No, jakto?... Nie rozumiem — rzekł niepewny.

— Mniejsza z tem. Wytłumaczę to panu kiedyindziej, albo może wcale nie wytłumaczę. Zobaczymy. Teraz chcę tylko wiedzieć, czy w dniu, w którym powiedziałbym panu: „Kochany panie Hantower! pani Daleniecka, czy tam jej syn, decyduje się sprzedać panu Wiedrzówkę", czy w tym dniu, respective w dniu sprzedaży wypłaciłbyś mi pan tu na stół pięć tysięcy rubli?

Pan Hantower otworzył trochę usta. Nad skośnemi brwiami gruba skóra jego czoła pofałdowała się od silnego naprężenia myśli. Miał on głęboki szacunek dla rozumu i sprytu Redłuskiego; nie wątpił więc, iż rzecz byłaby możliwą, skoro ten chce o nią traktować. Ale zarazem chciał ogarnąć sytuacyę; zbadać, czy bez jego pomocy, tak drogo okupionej, nie mógłby sobie sam poradzić. Zagadka jednak wydała mu się tak nierozwikłaną, iż rzekł tylko:

— No, toby zależało od tego, jakby ją oni sprzedać chcieli. Jabym Wiedrzówkę na subhaście za pół ceny kupił.

Redłuski zaśmiał się impertynencko.

— Co się zowie rasowa wendetta! — zawołał. — I zemścić się i jeszcze porządnie na zemście zarobić. No, no. Podobasz mi się, panie Hantower. Jesteś wiernym tradycyi.

Rzucił dopalonego papierosa i zmienionym tonem rzekł:

— Naturalnie, że działając dla pana postarałbym się wyzyskać najkorzystniejsze warunki kupna.

— Panie Redłuski! zawołał Hantower z oczyma pałającemi pożądliwością.

Pan to na prawdę mówi? Pan myśli, że to może być?

— Wszystko może być na tym świecie — odparł chłodno Redłuski. Nie zaszkodzi spróbować! Jak mówiłem, dawnom stracił z oczu panią Daleniecką. Wiem o niej bardzo mało.. Nie potrzebowałem się nią nigdy interesować. Ale teraz — można by trochę zbadać grunt. Kobieta piękna — czterdziestu lat jeszcze nie ma — wiek najniebezpieczniejszy — mąż daleko — no różnie bywa!... Zresztą co o tem mówić. Musielibyśmy wprzód ułożyć się o warunki. — Dasz pan pięć tysięcy rubli?

Pan Hantower zrobił płaczliwą minę.

— Aj! aj! Co pan mówi. Takie wielkie pieniądze.

— Chodzi też o wielkie rzeczy. Pomyśl pan tylko — las! no, i wyforowanie właścicielki ze dwora, z tego dwora, z którego jej ojciec tak pana niepolitycznie wyprosił. To warte trochę więcej.

— Ja mówiłem o trzech tysiącach — rzekł żyd nieśmiało.

— A ja wcale bym o nich nie mówił — odpowiedział ojciec Ewuni szorstko. Cóż to pan sobie myślisz, że masz z pokątnym doradzcą do czynienia, takim co na placu Krasińskich żydów za chałaty a chłopów za sukmany łapie? Udaj się pan do niego. Zobaczymy czy co wskóra. To sprawa delikatna, wymagająca wyższych zdolności, człowieka mającego stosunki w wielkim świecie, umiejącego się w nim obracać. Et! co pan się na tem rozumiesz.

Pan Hantower zgłupiał. Dotychczas w prostocie swego ducha uważał Redłuskiego za takiego właśnie adwokata z lewej ręki, i wgruncie rzeczy wcale się nie mylił; ale gdy ten go tak pogardliwie do pokątnego doradzcy odesłał, zaczął wątpić, czy się w ogóle na jego stanowisku społecznem poznawał.

— Niech się pan nie gniewa — rzekł bardzo grzecznie. Ja jeszcze Bogu dziękować nie umarłem, żeby to miało być moje ostatnie słowo. Ja się potrzebuję namyśleć.

— To się pan namyślaj, tylko prędko, bo nie mam czasu.

Spojrzał na zegarek.

— Za pół godziny muszę wyjść.

Mówił to niby obojętnie, ale gdyby pan Hantower był trochę bystrzejszym obserwatorem, byłby poznał z szybkich ukradkowych spojrzeń, jakie na niego i na drzwi rzucał, że ten ludzki pająk będzie dobrze pilnował, aby mu się upatrzona mucha z sieci nie wymknęła.

Nastąpiło milczenie. W podwórzu dziad ochrypłym głosem śpiewał pieśń pobożną, przez ścianę turkotała maszyna szwaczki. Na biórku papiery przewracane rozpaloną gorączką spodziewanego zysku ręką Redłuskiego szeleściały lekko.

Żyd splótł palce na brzuchu, brodę na piersiach oparł i myślał. Cyfry i żądza toczyły w jego umyśle ostateczną walkę. Wreszcie westchnął ciężko.

— Mam go — pomyślał Redłuski i udał jeszcze bardziej roztargnionego.

— Panie Redłuski — przemówił Hantower uroczyście. — Wielkie słowo. Cztery tysięcy dwieście rubli! Co to za pieniądze są! Już i adwokat przed sądem więcej by nie wziął!

Z wielu jątrzących się w mętnej duszy Redłuskiego ran, dotknął najboleśniejszej rany jego zwichniętej karyery, wywołał obraz, który go czasem budził ze snu i trzymał pod urokiem tantalowego mirażu!

Ach! stanąć tak choć raz jeszcze w życiu z ręką na pulpicie, z twarzą ku sędziom zwróconą, zelektryzować ich swoją wymową, zmiażdżyć przeciwnika, zdobyć szturmem fortunę i uznanie ludzkie. Czuł w sobie siły godne zapasów w otwartej arenie, a musiał je zużywać w dwuznacznej szermierce upokorzeń i goryczy pełnej! To też nienawidził to społeczeństwo nieubłagane z jednej, tchórzliwe z drugiej strony i powtarzał sobie mściwie, że za krótkiem będzie jego życie, aby mu oddać wszystko złe, jakie mu ono wyrządziło.

— No, jakże będzie? pytał Hantower. — Zgadza się pan na cztery tysiące dwieście rubli?

Redłuski spojrzał na niego imponująco.

(Ciąg dalszy nastąpi).

wobec ruin wielkich dzieł i państw wielkich. Gdzie dziś owa potęga państwa Solimanów, o której wspomina petycya!

„O, Kalifie, — czytamy w niej — zbliżamy się do ciebie pokornie, oświadczając, że cudzoziemiec, który wszedł do naszego kraju pod kłamliwemi pretekstami i z obietnicami coraz powtarzanemi opuszczenia go, nie przestaje w nim przebywać. Błagamy Cię o wyzwolenie naszej ziemi rodzinnej, która się stała dla nas ziemią martwą, o ożywienie jej przez twoje dostojne wstawiennictwo w sposób, którýby utrzymał władzę i łaskę, jaką odziedziczyłeś po wielkim sułtanie Selimie.

O Kalifie, ziemia egipska, ziemia święta, przedsionek Mekki, Medyny; tej ziemi lud przychodzi do ciebie ze łzami wślad za tym, który jest tam twoim zastępcą i przedstawicielem. Przyjmij łaskawie objaw naszego hołdu, gdyż jesteśmy ślepo posłami twej woli. Uwolnij nas od obecności cudzoziemców, bo jesteśmy jak ptaki złapane w sidła, i połóż koniec naszym udręczeniom potęgą twego Kalifowego miecza“.

Z Górnego Szląska.

(List z podróży).

Dla naocznego poznania się ze stosunkami Górnego Szlązka bawiłem już w zeszłym roku przez kilka dni w niektórych tutejszych miejscowościach; w tym zaś roku poświęciłem na ten cel więcej czasu, przyczem nie pominąłem żadnej sposobności, mogącej posłużyć do wytworzenia sobie wiernego obrazu.

Z wrażeniami odniesionemi podzielę się z czytelnikami, notatki zaś moje rozpocznę od przedstawienia stosunków miasta i okolicy Katowic.

Okolone rozległemi kopalniami węgla i różnemi fabrykami Katowice, dziś miasto o szerokich i regularnych ulicach, liczące około 18.000 mieszkańców, były jeszcze przed 27 laty osadą wiejską. Wówczas jednak miały charakter polski, podczas gdy dziś zamieszkałe są, z wyjątkiem kilkunastu rodzin polskich i polskiej służby, przez ludność żydowską i niemiecką. Podniósł też fakt ten w r. 1891 w dzień 25letniego jubileuszowego obchodu istnienia Katowic, jako miasta, pierwszy burmistrz p. Schneider, zaznaczając z uczuciem radości i dumy: „Ową nędzną polską wioskę przeistoczyliśmy w przeciągu 25 lat w piękne niemieckie miasto.“

Z czasów owych, kiedy Katowice jeszcze były polską wsią, widzimy za miastem, przy drodze prowadzącej do Bogucic, postawioną w roku 1850 Bożą mękę z polskim napisem: „Ten krzyż wystawili mieszkańcy z Katowic.“

Miasto położne w centrum ruchu fabrycznego powiększa się z nadzwyczajną szybkością. W tym roku stanie przed zimą w niem 50 nowych, po części wspaniałych gmachów, które się teraz budują.

Fizyonomia tego zniemczonego miasta zmienia się zupełnie w dni targowe, a jeszcze bardziej w świąteczne. Gdy napełnią się ulice, szynki i sklepy mieszkańcami okalających Katowice wiosek, jak Załęża, Zawodzia, Hałdy, Bogucic, Koszutki, Józefowia, huty Laury, Dębu i innych miejscowości, wtenczas rozlega się głośno mowa polska, która się prawie cudownie utrzymała po większej części w pierwotnej czystości, a tylko z ust ludzi, chcących się popisać znajomością „fajnéj“ mowy, wychodzą zdania zeszkaradzone upstrzeniem niemieckich wyrażeń o polskich końcówkach. Z czasem pozbędą się jednakże i ci owych nieswojskich naleciałości pod wpływem dobrych pism polskich, do których się coraz większe koła garną i w miarę, jak i duchowieństwo całe lepszą pocznie posługiwać się polszczyzną, czego się spodziewać trzeba w interesie powagi kapłanów i dobrego skutku ich pracy duchownej i utrzymania ludu w pobożności. Ponieważ czy to przy sprzedaży, czy przy kupnie mieszkańcy wiejscy posługują się swą mową polską, dlatego zmuszeni są żydzi i Niemcy uczyć się języka polskiego, tylko, że dźwięki tej mowy mocno są pokoszlawione. Oni więc a nie lud w swej większości mówią „wasserpolnisch.“ Żydzi psują też język polski przez zalecanie towarów swych na szyldach językiem, wykazującym lekceważenie go. Dla przykładu kopiują napis na szyldzie jednego z tutejszych semitów: „Węlky Skład rozmąntich Trzewikuw.“

Mimo różnych wrogich okoliczności, mimo śmiewiska i wyszydzań źle wychowanych kulturników, zachował tutejszy lud polski nawet swe dawne obyczaje, jak się o tem zwłaszcza przy uroczystych familijnych obchodach przekonać można.

Do jakiej zaś potęgi wzniosło się wśród ludu tego uśpione przez długie czasy poczucie narodowe, pouczyły nas między innemi ostatnie wybory do parlamentu niemieckiego, dalej dopominanie się jego o wykład nauki religii w szkole w ojczystym języku, o zaprowadzenie w szkołach nauki języka polskiego i o nauczycieli znających mowę ojczystą uczniów polskich. Jest to skutek zamiaru odebrania ludowi górnoszląskiemu tego, co każdemu człowiekowi jest drogiem.

Ubolewać tylko trzeba, że mężczyźni zarzucili po większej części strój narodowy. Kobiety noszą się, z wyjątkiem tych, które jako dziewczęta przyjęły służbę w domach niemieckich i żydowskich, po dawnemu.

Handel spoczywa w Katowicach prawie wyłącznie w rękach żydowskich, przyzwyczajonych z dawien dawna ssać jak pijawki Polaków. Żydzi tutejsi, nienawidzący z prawdziwie semicką zaciętością Polaków, uważają handel tak dalece za swój wyłączny monopol, że wcale nie przebierają w środkach, aby zwłaszcza polską konkurencyę zdusić, a raczej wcale jej nie dopuścić.

Dotychczas odważyli się dopiero dwaj Polacy kupcy w Katowicach w gałęzi handlu kolonialnego szukać chleba i rywalizować z żydami, trzymając się uczciwych zasad kupieckich. Pierwszym z nich jest p. Lewandowski, który popracowawszy przez sześć lat jako pomocnik, wystąpił przed 4 laty jako samodzielny kupiec. A rzetelnością w obsługiwaniu odbiorców i sercem pełnem życzliwości i miłości dla opuszczonego i często wzgardzonego polskiego ludu zyskał sobie zaufanie jego. P. Lewandowski jest rodem z Prus Zachodnich. Drugim jest p. J. Kużaj, który przed dwoma laty sprowadził się tu z Ostrzeszowa. Powodzenie obydwóch jest solą w oku żydowstwa tutejszego, popieranego, nie wiadomo z jakich powodów, gorąco przez pierwszego burmistrza p. Schneidra.

Nie mogąc w inny sposób zaszkodzić p. Lewandowskiemu i zohydzić go, nacechowali go przyjacielem socyalistów, chociaż im wiadomo, że jest wrogiem mrzonek socyalistycznych i nieprzyjacielem roboty tej partyi wywrotu, co już ztąd wynika, że jest członkiem zarządu „Towarzystwa górnoszlązkich przemysłowców z Katowic i okolicy“, które w ustawach swych umieściło między innemi zadaniami zwalczanie działania socyalistów.

Także p. burmistrzowi Schneidrowi nie podoba się tak dalece zaufanie, jakiem się p. Lewandowski wśród swych rodaków górnoszlązkich cieszy, że nazywa go wielkopolskim agitatorem; nadto pozwolił sobie pan burmistrz w charakterze reprezentanta policyi przedstawić nawet urzędowo p. Lewandowskiego jako socyalistę. Sprawa ta dostała się przed forum sądowe; lecz p. Schneider oskarżony o oszczerstwo przez p. Lewandowskiego wyszedł bez szwanku, gdyż sąd zawyrokował w tych dniach, że oskarżony występował *in Wahrnehmung berechtigter Interessen.*

Najwięcej ubiegają się żydzi o konsensa na wyszynk wódek i przy życzliwości naczelnika policyi zamiary ich uwieńczane są dobrym skutkiem. Mniej szczęścia mają pod tym względem chrześcianie a już wcale nie Polacy. Gdzie szukać powodu tego objawu, czy w chęci podniesienia moralności wśród ludu?

Żydzi, wyzyskując przez długie lata okoliczny, a dawniej nadto w wielkiej mierze nadgraniczny lud z za kordonu, dorobili się kolosalnych majątków. Kilku z nich objuczonych milionami wyprowadziło się do Berlina. Teraz mówią z największą pogardą o głupich polskich „goimach“

Wielce dbali o dobrą opinię na zewnątrz, nie szczędzą oni ofiar dla pozyskania przychylności prasy niemieckiej i to im się udaje, bo wszakże służalczych i przekupnych pism nie brak. W tych dniach pełni byli obawy, gdyż znany antisemita berliński prof. Foerster miał zjechać do Katowic z odczytem. Sala już była najęta i dzień naznaczony. Lecz żydzi umieli unicestwić nieprzychylny im zamiar. Oto brzęczącemi argumentami przekonali gospodarza sali, że lokalu na cel ów odmówić powinien

Z przemysłowców Polaków cieszą się tutaj dobrem powodzeniem zegarmistrz p. Beszczyński i introligator p. Rzepka. W piwo zaopatruje miasto i okolicę Czech, a przyjaciel Polaków, p. Kristufek. W dobrze zrozumianym własnym interesie posługują się obie tutejsze niemieckie apteki prowizorami Polakami. Między kilku lekarzami tutejszymi jest jeden Polak p. Śmierzchalski. Księża są niemieckiej narodowości, a jeden tylko z nich ks. dziekan Schmidt mówi po polsku, lecz bardzo źle

Szkoły katowickie mają charakter symultanny. Te same motywa co w Poznaniu nieprzychylne katolicyzmowi i polskości sprawiły, że żydowsko-ewangielicka większość ojców miasta nieprzychylna jest szkołom o wyznaniowym charakterze.

Pod względem sanitarnym należą Katowice do miejscowości za Szlązku cieszących się najmniejszym procentem śmiertelności pomimo że miasto przesycone jest dymem z okolicznych fabryk.

KRONIKA.

Lwów 7 sierpnia.

W sobotę przypadała 29 rocznica stracenia na stokach warszawskiej cytadeli ostatnich pięciu członków Rządu Narodowego. Jak corocznie, zebrało się w tym dniu w kaplicy pamiątkowej na wzgórzu wóleckiem około 3000 osób rozmaitych stanów i wieku i odśpiewało patryotyczne pieśni oraz „Anioł pański“ za dusze straconych. Kapliczka była oświetlona lampionami.

Z uniwersytetu. P. A. Beil, właściciel apteki w Stanisławowie, otrzymał na Uniw. wiedeńskim stopień dra filozofii.

Rektorem Uniwersytetu wrocławskiego na rok szkolny 1893/94 wybrano profesora doktora Władysława Nehringa, profesora języka polskiego i literatury narodów słowiańskich na Uniwersytecie wrocławskim.

Wiadomości dyecezyalne. Rz. kat. archidyecezya lwowska: Dotychczasowy administrator parafii w Stanisławowie, ks. Swidecki, przeniesiony został w tym samym charakterze do Żydaczowa.

Ze Szczawnicy piszą nam: Dr. Biliński zawiadomił telegraficznie prezesa klubu szczawnickiego w odpowiedzi na wysłany telegram, iż stacya kolei w Starym Sączu będzie rozszerzoną, natomiast rychłej budowie kolei żelaznej do Szczawnicy stoją na przeszkodzie względy finansowe. Klub uchwalił podziękować p. prezydentowi Bilińskiemu, a równocześnie na wniosek p. rejenta Lucyana Lipińskiego, postanowił wysłać dwie petycye: jednę do Koła polskiego w Wiedniu o przyspieszenie budowy kolei Szczawnica-Stary-Sącz, ewentualnie Szczawnica-Chabówka, a drugą tej samej treści do Sejmu galicyjskiego, dołączając zarazem prośbę o bezzwłoczną budowę już wytrasowanego gościńca ze Szczawnicy do stacyi kolei w Piwnicznej, długości 12 kilometrów.

Redaktor *Gońca Wielkopolskiego* dr. Rzepecki w Poznaniu, rażony został apopleksyą.

Redakcyę wydawnictwa dziełek ludowych we Lwowie objął p. Bronisław Sokalski, były inspektor szkół ludowych, dotychczasowy bowiem redaktor p. Julian Nowakowski, wyjechał na posadę inspektora do Jarosławia.

Ksiądz kardynał Ledóchowski, jak donoszą dzienniki berlińskie, ma przybyć do Berlina i Poznania. Wskutek tej pogłoski, niemiecka *Posener Ztg.* uderzyła na alarm i pisze, iż wśród ludności m. Poznania na wieść o przyjeździe ks. kardynała wybuchło wielkie „zaniepokojenie“.

Wiedeński klub turystów urządza wycieczkę w Tatry w czasie od 12 do 16 sierpnia.

Pielgrzymka do Kalwaryi. Kustosz OO. Bernardynów w Kalwaryi zebrzydowskiej, O. Duklan Zając, donosi nam, że nie mogąc dla krótkości czasu odpowiedzieć na liczne zapytania, co do mającego się odbyć odpustu Wniebowzięcia Matki Boskiej, pielgrzymów pragnących dostąpić odpustu, iż c. k. władze polityczne gromadzenia się pątników nie zakazały i nabożeństwa odbywać się będą z równą jak co roku uroczystością.

Ślub. W Krakowie w kościele św. Floryana odbył się w sobotę ślub panny Maryi Tureczkównej z p. Sylwestrem Ziembińskim, artystą malarzem.

– **Z Czortkowa** piszą nam: Uzupełniając posłany onegdaj opis uroczystości otwarcia dyrekcyi skarbowej dodaję, iż po uroczystości tej o godzinie 2-giej po południu odbyło się przyjęcie, urządzone staraniem gminy w pięknie udekorowanej sali Rady powiatowej. W czasie obiadu orkiestra przygrywała na galeryi. Do stołu zasiadło kilkadziesiąt osób; szereg toastów rozpoczął burmistrz miasta p. Noss toastem na cześć p. wiceprezydenta Korytowskiego. Na toast ten odpowiedział pan Korytowski w te słowa:

„Panu burmistrzowi Czortkowa najuprzejmiej dziękuję za pochlebne wyrazy i proszę przyjąć zapewnienie, że miasto zawsze na życzliwe moje poparcie liczyć może, ilekroć tak postępować będzie, jak w obecnym wypadku, z okazyi utworzenia tu skarbowej dyrekcyi. Na kresy wschodnie, które dziś po raz pierwszy zwiedzam, była niegdyś bezustannie zwrócona uwaga Rzeczypospolitej, nieraz nawet całej Europy. Zamek czortkowski, którego mury opuszczone dziś sterczą ku niebu, Okopy św. Trójcy, chocimska twierdza niejednokrotnie stawiły czoło napadom hord tatarskich, tureckich, lub zastępom Chmielnickiego, a postrach ogarniał dalekie kraje Zachodu, za oręż chwytać musiały całe ludy i państwa, jeżeli kresowe załogi nie zdołały powstrzymać najazdu bisurmanów, jeżeli przełamane zostało przedmurze chrześcijaństwa i cywilizacyi. Ziemie te krwią przesiąkły; tysiące najlepszych synów kraju skończyło w tureckiej lub kozackiej niewoli. Jeszcze nie upłynęły dwa wieki, jak te ziemie po raz ostatni przestały należeć do kamienieckiego baszałyku, jak z baszty czortkowskiego zamku zdjęto półksiężyc. Wśród nieustannych bojów płynęły na kresach dni i lata, a w kraju śledzono pilnie czyny, walki, niebezpieczeństwa i znoje wojowników. Twarda to była szkoła. W zwartych szeregach tej służby, w karności, zakorzenionych tradycyach, wyrobionych mocno opiniach, przyswajał sobie kresowy wojownik cnoty publiczne, nabierał zdolności do zbiorowej służby po powrocie do domowego ogniska. Z ustaniem zapasów na kresach, dużo swych cennych przymiotów utraciło powoli rycerstwo polskie. Dziś kresy wschodnie inne mają powołanie. Są one kończynami kultury zachodniej. Krzewienie i pielęgnowanie tej kultury pod błogimi rządami najmiłościwiej nam panującego Monarchy jest ich obowiązkiem. Z przyjemnością stwierdzić wypada znaczny postęp tych okolic na polu ekonomicznem, rozwój na polu oświaty i cywilizacyi. Dalszego postępu, dalszego rozwoju, całem sercem życzymy. A nowa władza skarbowa, w duchu na wskróś obywatelskim kierowana, popierać będzie wszelkie Wasze szlachetne zamiary. Miasto Czortków pod światłym przewodem prawego naczelnika gminy, zrobiło doniosły krok naprzód uzyskaniem tej władzy skarbowej. Oby to było dobrą zapowiedzią dla dalszych, chwalebnych zabiegów. Potomkowie kresowych rycerzy i cała ludność tych granicznych okolic, nie dają się nigdy i nikomu wyprzedzić w sumiennem wykonywaniu obowiązków, w wierności i ofiarności dla tronu i państwa. Na ich pomyślność, na pomyślność obywatelstwa i całej ludności wszystkich obrządków czortkowskiej, borszczowskiej i husiatyńskiej ziemi, na pomyślność miasta Czortkowa wznoszę ten toast w ręce pana marszałka czortkowskiej ziemi i p. burmistrza m. Czortkowa.“

W dalszym ciągu uczty marszałek dr. Rudrof wychylił kielich na pomyślność stanu urzędniczego, kierownik starostwa p. Wybranowski pił na cześć p. marszałka, p. Komarnicki pił zdrowie p. burmistrza, p. radzca Bilwin na cześć duchowieństwa, adwokat dr. Czaczkowski na cześć radcy Bilwina i wszystkich urzędników nowej Dyrekcyi; prowincyał OO. Dominikanów ks. Nowakowski na pomyślność pp. Gamskiego i Bielańskiego, którzy gmach nowej Dyrekcyi stawiali; budowniczy p. Gamski na cześć i pomyślność armii w ogóle, a załogi czortkowskiej w szczególności; pan major Pistel na cześć towarzystwa czortkowskiego; wójt z Kosowa Teodor Lesków wzniósł w języku ruskim „Mnohaja lita“ na cześć p. wiceprezydenta; w końcu notaryusz z Borszczowa pan Witosławski pił zdrowie p. wiceprezydenta i gminy Czortkowa. Na tem ucztę zakończono.

Z Gródka piszą nam: Stojący tu załogą 11 pułk dragonów obchodził w piątek uroczyście pięćdziesiątą rocznicę mianowania Cesarza Franciszka Józefa właścicielem tego pułku. Miasto przywdziało szatę odświętną. Nader pięknie były udekorowane ubikacye wojskowe. Na uroczystość przybyli między innymi: komendant korpusu przemyskiego jenerał Galgoczy, tudzież jenerałowie: baron Ripp, hr. Hübner, Bordolo i br. Mertens. Uroczystość rozpoczęła się mszą polową, po której pułkownik Zietkiewicz miał przemowę do żołnierzy w języku czeskim, wspominając, iż pułk ten był trzy razy w ogniu. Następnie rozdzielono cztery nagrody w wysokości 480 złr. (procent z fundacyi Cesarza ofiarowanej pułkowi), między czterech najdzielniejszych podoficerów.

Nadesłano mnóstwo telegramów gratulacyjnych z całej monarchii. Nadszedł także telegram od Cesarza. W depeszy tej Cesarz wyraził swój współudział, jaki bierze w uroczystości jubileuszowej i wspomniał o tem, iż przed 50 laty został mianowany właścicielem tego pułku „Z radością i dumą — są słowa depeszy — nosiłem pierwszy ten mój honorowy mundur, z odznakami owego dzielnego pułku, który dziś, tak jak niegdyś, jaśnieje wojskowemi cnotami“. W końcu przesłał Monarcha pułkowi gratulacye i zapewnił go o swej niezmiennej życzliwości. Korpus oficerski wysłał telegram dziękczynny do Cesarza. Po południu odbyły się wyścigi o nagrodę ofiarowaną przez Cesarza, a dzień zakończono uroczystym bankietem.

Koncerty „Echa“. Z Iwonicza donoszą nam: Dnia 4 b. m. odbył się u nas zapowiadany od dawna koncert lwowskiego „Echa“, które objeżdża obecnie wszystkie zdrojowiska krajowe z koncertami na dochód „Szkoły ludowej“. Koncert odbył się wprawdzie nie przy takim udziale publiczności, jakiegoby się ze względu na sam szlachetny cel spodziewać można, nie mniej jednak dzielna drużyna śpiewacka spisała się jak na „Echo“ przystało. Program złożony wyłącznie z utworów polskich mistrzów wykonano pod każdym względem doskonale mimo zmęczenia, jakie musiało zapewne owładnąć „Echistów“ po długiej i forsownej podróży. Dzielnym śpiewakom życzymy jak najlepszego powodzenia w dalszej podróży.

Z Żegiestowa donoszą nam: Sympatyczne wasze lwowskie „Echo“ przybyło tu do nas 5 b. m. i dało koncert na cele „Towarzystwa Szkoły ludowej“. Warszawscy nasi goście słuchali z rozrzewnieniem polskich pieśni z zapałem śpiewanych przez wyborny komplet „Echa“ i wychodząc ze sali unieśli ze sobą najmilsze wrażenia. My zaś, Galicyanie, z dumą powtarzaliśmy drogim naszym gościom: „Oto taką mamy młodzież! nie lęka się ani trudów, ani zmęczenia, lecz ożywiona najlepszemi chęciami i szczerym zapałem, składa swą pracę z ochotą, aby przyczynić się choć drobną cząstką do wielkiego przedsięwzięcia, które się kiedyś stanie naszą chlubą“.

Po koncercie odbył się bal w pięknie udekorowanej sali. Powiódł się świetnie, wszyscy bawili się jak najlepiej. Szczera podzięka za tę zabawę należy się p. Bilińskiemu, aptekarzowi, który bal ów zaaranżował.

Ruina drogiej pamiątki we Lwowie. Do pamiątek przeszłości narodu polskiego w ogóle, w szczególności zaś miasta Lwowa, należy kolumna kamienna na cmentarzu Gródeckim chlubnie zapisana w kronikach miasta Lwowa. W roku 1752 dnia 2 lipca odbyła się przed tą kolumną pierwsza koronacya cudami słynącego obrazu Najświętszej Maryi Panny znajdującego się w kościele OO. Dominikanów we Lwowie. Uroczystość tę celebrował ś. p. Arcybiskup Wyżycki w asystencyi rycerstwa polskiego, przy odgłosie dział wojsk Rzeczypospolitej i przy udziale niezliczonych tłumów ludu obrządku rzymsko-kat. i grecko-kat. W dniu 2-gim lipca 1852 odbyła się przed tą samą kolumną pierwsza stuletnia rocznica tej koronacyi, dokonana przez męczennika za św. wiarę Arcybiskupa Gutkowskiego, również przy niezliczonym udziale ludności i duchowieństwa katolickiego. Dziś niestety kolumna ta zostaje w opłakanym i opuszczonym stanie, mury odrapane, malowidła obrazów zupełnie zniszczone, a przecież dzieci Maryi, Królowej Polski, patrzą obojętnie na to zniszczenie i opuszczenie. Wartoby przecież zająć się odnowieniem tak pięknego pomnika, przecież stać jeszcze mieszczan lwowskich, znanych z ofiarności na cele patryotyczne i religijne, na wdowi grosz na podtrzymanie tego, co nam przodkowie w miłej spuściźnie zostawili.

Bankructwo. Wiedeński „Creditorenverein“ ogłasza niewypłacalność kupca Mayera Langberga we Lwowie.

Nietaktowny komisarz. Z Chicago donoszą do *Czasu*: „Po długich staraniach udało się pełnomocnikowi artystów-malarzy polskich, p. Juliuszowi Rodys, zdobyć miejsce na wystawie w Chicago dla zaprezentowania sztuki polskiej. Miejsce to jednak okazało się za szczupłe dla pomieszczenia prac naszych, przedsięwziąłem więc starania u dyrekcyi wystawy o dodanie nam aneksu. Dodatkowe to miejsce otrzymalibyśmy natychmiast, gdyby nie przeszkody, jakie stawiał nam komisarz austryacki pan Antoni von Palitschek-Palmforst. Stanowczo się on sprzeciwiał, by nam Polakom jakiekolwiek miejsce udzielono, motywując, że Polacy wcale nie egzystują i nie ma na kontynencie takiego narodu, któryby się zwał polskim. Groził on dyrekcyi wystawy kwestyą polityczną w razie udzielenia nam pomieszczenia oddzielnego na wystawie i intrygował pomiędzy wszystkimi rządowymi komisarzami, byle tylko swego dopiąć i udzielone nam miejsce odebrać i przeszkodzić w otrzymaniu dodatkowego. Mimo tych wszystkich intryg w postępowaniu pana Palitschka udało mi się dodatkowe miejsce zdobyć, dzięki sympatyi dyrektora sztuk pięknych pana H. C. Ives'a, który narażał się osobiście, by tylko nam Polakom wygodzić i nie dać nas pokrzywdzić. Dziwnem zaiste wydaje mi się postępowanie jeneralnego komisarza. Jak może reprezentant państwa, w którym Polacy cieszą się swobodami konstytucyjnemi, zaprzeczać narodowi naszemu egzystencyi?! Podaję ten fakt do wiadomości, a nie wątpię, że znajdzie się właściwy sposób i właściwa droga przypomnienia urzędowego panu komisarzowi v. Palitschek, iż

GUY DE MAUPASSANT.

Kiedy przed trzema blisko laty umarł botanik Hervé de Maupassant w szpitalu waryatów w Lyonie, twórca *„Bel-Ami“* znajdował się na pogrzebie rodzonego swego brata, a dyrektor domu obłąkanych zwracał uwagę znakomitego romansopisarza, że źle zrobił, podpisując akt zejścia.

— Rzecz się rozgłosi, — mówił dyrektor, — a na pańskiem stanowisku to może panu zaszkodzić.

— Co znowu! — odparł Guy de Maupassant — czy może dlatego, że brat mój umarł na pomieszanie zmysłów?.. To i mnie nie minie; wiesz pan, kochany dyrektorze, że mię tu przywiozą i skończę w pańskim zakładzie.

W rok potem, skrępowany w kaftanie, jechał on po raz ostatni wzdłuż tej Riviery, gdzie znał każdą agawę, a wnet potem zawarły się za nim w Paryżu drzwi domu szaleńców, zkąd niedawno na cmentarz go wywieziono.

Nie były więc słowa Maupassant'a okolicznościowym frazesem — bo zresztą nikt ich nie powiedział i nie napisał frazesów od niego —; nie podyktowało mu ich również, przypadkowo wywołane nastrojem chwili, a pozbawione faktycznej podstawy przeczucie. Nowelle jego „Strach“, „Obłąkany“, „Umarła“, „Horla“ krążyły już między publicznością europejską — znał więc swój stan Maupassant, zanim ktokolwiek domyślił się rozkładu tej artystycznej organizacyi; czuł, że go już powoli ogarnia tajemniczy świat, przed którym autor i zarazem bohater „Horli“ nadaremnie uciec usiłował.

Ta tragiczna świadomość sięgała może dawniejszego czasu, niż owe charakteryzujące stan duszy Maupassant'a nowelle. Kogoż z nas nie uderzyły proste i niby zwyczajne, a tak głęboko odczute rozmyślania poety Norberta de Varenne w *„Bel-Ami“*? Mówi on:

— Przychodzi dzień — a przychodzi dla wielu wcześnie, kiedy człowiek przestaje się śmiać, bo po za wszystkiem na co spojrzy, widzi śmierć. Ja ją w sobie czuję od lat piętnastu, jakgdyby mi wewnątrz zwierzę jakieś życie podgryzało. Niszczy mię powoli miesiąc po miesiącu, godzina po godzinie, jak dom, który się w gruzy rozsypuje. Nie mam już w sobie nic z człowieka silnego, świeżego, promieniejącego, jakim byłem w trzydziestym roku życia. Patrzałem jak mi ze złośliwą powolnością bieliła moje czarne włosy; wzięła mi jędrną skórę, sprężyste muskuły, mocne zęby, całe moje dawniejsze ciało, pozostawiając tylko zrozpaczoną duszę, którą również wkrótce zabierze. Tak! Rozkruszyła mię, wiedźma, wykonała pomału a straszne spustoszenia w mojej całej istocie. Każdy krok przybliża mię do niej, każde tchnienie przyśpiesza jej ohydną robotę. Umieram, śpiąc, pijąc, siedząc, pracując, marząc. Żyć — to znaczy umierać. — Śmierć jest kresem wszystkiego — a ja widzę ją tak blisko, że mam czasem chęć wyciągnąć rękę, żeby ją odepchnąć. Ona pokrywa ziemię i wypełnia przestrzeń — ją odnajduję wszędzie. Robaki rozdeptane po drogach, liście spadające, siwe włosy dostrzeżone w brodzie przyjaciela — wołają do mnie: „oto idzie śmierć“. Ona mi psuje wszystko co robię, wszystko co widzę, co jem i piję, wszystko co lubię: noce księżycowe, wschód słońca, morze rozległe, piękne rzeki i powietrze letnich wieczorów, takie miłe do oddychania“.

Pisał to wszystko człowiek w pełni sił fizycznych i umysłowych, wśród najświetniejszego okresu twórczości, która zdawała się być ujściem dla nadmiaru wybujałego życia i rozrostem duchowym harmonizować z atletyczną kompleksyą pisarza. Znać też w tych refleksyach jakby cielesną tylko odrazę w obec materyalnego rozkładu. Później przyjdzie trwoga innego rodzaju, — strach przed niewidzialnemi rzeczami zaczajonemi po za śmiercią fizyczną; w paroksyzmach tej trwogi, opowie nam Maupassant przez usta marynarza o piaszczystej nawałnicy w Afryce, o „skamieniałej burzy“, podnoszącej wysokie, jak góry, tumany pyłu rozpalonego żarem słońca, wśród których zaskoczona karawana słyszy nagle bębnienie tajemniczego dobosza. Arabowie z przerażeniem mówią: „śmierć jest między nami“, a jeden z podróżnych pada pod ogniem porażenia słonecznego i umiera przy odgłosie niewidzialnego werbla, milknącego z chwilą skonania podróżnika; to znów opisze autor „Stracha“, scenę w lesie, u chłopa, który, zabiwszy niegdyś kłusownika, widzi go i słyszy w każdą rocznicę u drzwi swego domostwa i całą rodzinę w oczekiwaniu tych odwiedzin uzbraja. Dalej ten strach kojarzy się już z pesymizmem życiowym i dyktuje Maupassant'owi nowelię *„Une morte“* z akcyą na cmentarzu, gdzie mężczyzna zapóźniony na mogile swej ukochanej, widzi jak o północy otwierają się wszystkie groby, z każdego wychodzi nieboszczyk lub nieboszczka, i przekreśliwszy na kamieniach kłamstwa konwencyonalne o swych cnotach, określają prawdziwą swoją wartość. Tej pośmiertnej samokrytyki nie oszczędza sobie również bohaterka nowelli, owa ukochana nieboszczka, i zamiast słów „kochała, była kochaną i umarła“, pisze: „wyszedłszy pewnego dnia, aby oszukać swego narzeczonego, zaziębiła się i umarła“.

Wreszcie nadchodzi chwila, kiedy z tego strachu wysnuwa się cała psychologia, cała filozofia Maupassanta.

„Mam od kilku dni trochę gorączki, — pisze w swoim dzienniku autor ukrywający się za bohaterem opowiadania „Horla“; — czuję się cierpiącym a raczej smutnym. Zkąd pochodzą te tajemnicze wpływy, zmieniające nasze szczęście na zniechęcenie, naszą ufność na zgryzotę? Zdawałoby się, że powietrze, niewidzialne powietrze, pełne jest nieznanych potęg, których tajemniczemu sąsiedztwu poddać się musimy. Budzę się wesoły i mam chęć śpiewać. Dlaczego? Idę brzegiem wody i po krótkiej przechadzce wracam strapiony, jak gdyby nieszczęście oczekiwało na mnie w domu. Dlaczego? Czy to dreszcz zimny, przebiegłszy po skórze, szarpnął mi nerwy i zachmurzył duszę? Czy to kształt obłoków, kolor dnia, zmienna barwa rzeczy, przeszedłszy przez oczy, myśl mi przyćmiła? Któż to wie? Wszystko co nas otacza, wszystko co widzimy, nie patrząc, o co się ocieramy nie znając, wszystko co napotykamy nie rozróżniając, działa na nas, na nasze organa, a przez nie na myśli nasze, nawet na serce, w sposób zdumiewający i niewytłómaczony“.

Dalej czytamy w tym dzienniku:

„Jakże głęboką jest tajemnica tego co niewidzialne! Nie możemy jej zbadać naszemi zmysłami; oczy nie dostrzegają ani mieszkańców gwiazd, ani mieszkańców kropli wody; uszy oszukują nas, oddając drgania powietrza w dźwięcznych nutach. Ach, gdybyśmy mieli inne organa, któreby spełniały dla nas inne usługi, ileż to jeszcze rzeczy moglibyśmy odkryć naokoło nas!“

Wiadomo wszystkim do czego bohatera doprowadziły te rozmyślania, — urodził się z nich sobowtór autora dziennika „Horla“ istota niewidzialna, niepochwytna, z doskonalszą naturą, kierująca despotycznie naszą wolą i trzymająca nas w niewolniczej od siebie zależności. Przyszła na niego kolej — i pisze on:

„Jastrząb zjadł gołąbkę, wilk rozszarpał jagnię, lew pożarł bawołu, człowiek zabił lwa strzałą, mieczem, prochem; teraz Horla zrobi z człowieka to, co on zrobił ze zwierzęcia: swego sługę, rzecz swoją. Biada mi!“

Człowiek jednak buntuje się przeciw tej niewoli; bohater próbuje zabić swego sobowtóra, więc podpala dom, w którym był przezeń dręczony. Ale wnet powstaje w bohaterze wątpliwość: „Czy tylko Horla umarł w płomieniach?“

„Nie, — kończy bohater — z pewnością, niezawodnie nie umarł! W takim razie ja chyba zabić się muszę!“

Cięcie brzytwy, które Maupassant zadał sobie w Cannes, było odpowiedzią na ten wykrzyknik.

Śmierć „zrozpaczonej duszy“, poprzedzająca rozkład ciała, jest straszną; ale nie można zapatrywać twórczości Maupassant'a wyłącznie w oświetleniu tej katastrofy. „Horla“ niezawsze odgrywał rolę prześladowcy w egzystencyi tego pisarza, który długo żył w zgodzie ze swoim sobowtórem, a nawet kto wie, czy mu nie zawdzięczał, że między współczesnymi we Francyi prozaikami stał się największym poetą?

Dwóch było zawsze ludzi w Maupassancie: realista ze spojrzeniem jasnem, nieubłaganie bystrem, po mistrzowsku odnajdującem charakterystyczne rysy natury, ludzi, wypadków, sytuacyi; i melancholik, szukający w głębinach życia istoty rzeczy. Realista śmiał się tak, jak się śmiać potrafi tylko Rabelais, usiłując ogarnąć cały świat myśli i uczuć swoim zawiesistym *esprit gaulois;* melancholik przypominał mu ustawicznie, że nie wszystko zmieści się w tym śmiechu. Obu łączył sceptycyzm, u jednego wesoły, u drugiego smutny; u realisty żartujący z idealnych aspiracyi, u melancholika zadumany nad marnością rzeczy doczesnych, a z tych dwóch przeciwbiegunowych prądów wytworzył się jeden łagodny, wyrozumiały, może pogardliwy w swej pobłażliwości sceptycyzm, który był więcej poezyą tego, coby w życiu być mogło, aniżeli filozofią tego, co w niem jest.

Że Maupassant nie był filozofem z profesyi, o tem z książek jego przekonać się może każdy, nie stawiając, jak jeden z krytyków francuskich, pytań: „Czy zstąpił do głębin, gdzie ścigał widma tajemnic? czy stwierdził złośliwą niemoralność losu, zabawiającego się karaniem cnoty, a wynagradzaniem występku? czy zrozumiał z wywodów Taine'a, co warta nasza wiara w „dumną wiedzę“? czy widział pod mrowiskiem faktów, pod olśniewającą fantasmagoryą pozorów zimny mechanizm praw?“ Wszystkiego tego Maupassant prawdopodobnie nie badał; ale przyszedł na świat w chwili, kiedy zwiędła większa część wierzeń, które dotąd upiększały życie ludzkie i żył pod naciskiem tylu filozoficznych teoryjek, tylu wrzekomych zdobyczy wiedzy, takiej tyranii doktryn brutalnych przyśmiewających światłość ideału, że skutkiem specyalnej wrażliwości, obdarzającej pewne dusze mocą odgadywania tego, czego nie wiedzą, odczuwał, bez jasnej świadomości, znużenie umysłowe, które nastąpiło po wysiłkach zgłębienia istoty rzeczy i cierpiał więcej niż ci, co pracowali nad rozczarowaniem ludzkości.

Maupassanta zabiło to, co w naszych czasach niewiary i egoizmu zabija wszystkich przecywilizowanych i „przerafinowanych“ ludzi.

Polacy egzystują i praw swoich bronić nie przestaną.

Jerzy Sosnowski, delegat art.-malarzy polskich na wystawie w Chicago".

Kto jest najznakomitszym powieściopisarzem w Polsce? Pan Józef Rogosz. Tak utrzymuje wychodząca w Nowym Jorku *Gazeta Polska*, a jak przyszło do tej nadzwyczajnej nominacyi, opowiemy pokrótce. Pan Rogosz wyjeżdżając do Chicago wysłał z Krakowa list do redaktora nowojorskiej *Gazety Polskiej,* w którym powiada, że chociaż napisał 40 tomów rozmaitych dzieł i imię jego zna każdy Polak w Europie, nie jest jednak tak zarozumiałym, ażeby sądził, że sława jego imienia przedarła się za Atlantyk i dlatego uważa za stosowne uprzedzić Polaków amerykańskich o swoim przyjeździe. Uczony redaktor *Gazety Polskiej* zamieścił ten list i od siebie dodał panegiryk, który się zaczyna od następujących słów: „Pan Józef Rogosz jest najznakomitszym z żyjących powieściopisarzy polskich, któż nie zna jego prześlicznej powieści „Olbrachtowi rycerze", która idzie w zawody z sienkiewiczowskiem „Ogniem i mieczem?" Tak dzięki poczciwym Amerykanom został p. Rogosz najznakomitszym powieściopisarzem, a w dodatku autorem „Olbrachtowych rycerzy", którą to powieść w Europie powszechnie przypisują Kaczkowskiemu.

Z Tyśmienicy donoszą: Przed dwoma tygodniami odbyły się w Tyśmienicy uzupełniające wybory burmistrza i jednego asesora w miejsce zasuspendowanych przez Namiestnictwo. Większością głosów wybrano burmistrza p. Antoniego Smolnickiego, garbarza, asesorem zaś Asriela Liebleina, handlarza skór i byłego propinatora.

Cholera. W okręgu nadwórniańskim miały się zdarzyć wczoraj trzy wypadki cholery. Ze Lwowa wyjechał tam wczoraj protomedyk dr. Merunowicz, a dziś pojechali: dr. Krokiewicz, znakomity bakteryolog i trzej inni lekarze. Wysłano tam także ambulansowe baraki „Czerwonego Krzyża".

Sprzedaż soli w zarządzie Wydziału krajowego. *Gazeta Stanisławowska* pisze: Zaledwie Wydziały powiatowe zarządziły organizacyą w tej sprawie, zgłosiło się mnóstwo ochotników, którzy dobijali się o trafiki solne, zazdrosnem okiem spoglądając na szczęśliwych zdobywców! Po dwóch tygodniach zmieniła się sytuacya zupełnie, różowe nadzieje rozwiały się w powietrzu, a nastąpiło gorzkie rozczarowanie! W Galicyi wschodniej, na Pokuciu w szczególności, przybrała sprawa solna obrót wielce niepomyślny z powodu konkurencyi żydowskiej i zachowania się zarządców salin. Jak wiadomo zakupił Wydział krajowy setkę topek po 9 złr. 4 ct., oznaczył koszt dostawy w każdym powiecie, nadto rabat dla trafikanta, i cenę, po jakiej topka ma się sprzedawać. Naprzykład: Z powiatu Kosowskiego donoszą nam, że w miasteczku Kutach oznaczył Wydział krajowy głównemu trafikantowi za 100 topek 9 złr. 55 ct. kosztu, a zysku 45 ct. i kazał topkę sprzedawać po 10 ct. Żydzi wyzyskali niejasną instrukcyę Wydziału krajowego, kupują bowiem w salinach 100 topek soli również za cenę produkcyjną 9 złr. 4 ct., za dostawę do Kut płacą 16 ct. od setki, czyli razem 9 złr. 20 ct., a sprzedając setkę po 9 złr. 50 ct. (topka po 9½ centa) mają jeszcze czystego zysku 30 ct. Naturalnie nie kupuje nikt od trafikanta, przez Wydział mianowanego, bo on płacąc za setkę topek 9 złr. 55 ct., musiałby chyba 5 ct. do każdej setki dołożyć, gdyby chciał sprzedać po cenie praktykowanej u żydów.

Dla zachęty włościan do kupna soli wymyślili żydzi jeszcze jeden drobny, ale bardzo charakterystyczny środek. Mając, jak wykazano wyżej, 30 centów zysku, dodają oni do kilku zakupionych topek soli jeszcze parę siarników *gratis*, nie dziw tedy, że wszyscy spieszą po sól do żydów, bo mają topkę o pół centa taniej i parę siarników przyczynku. Biedny trafikant, z urzędu ustanowiony, opłaca tymczasem magazyn włożył pewien kapitał w zakupno soli, a sól stoi i stać będzie, aż się pokruszy, i zamiast zysku grubą stratę przyniesie!

Tak to wygląda *de facto* sprzedaż soli w zarządzie Wydziału krajowego w powiecie Kosowskim; tak samo niezawodnie w okolicach Delatyna i Doliny, gdzie sól produkują! Jeżeli Wydział krajowy nie wyjedna u rządu tego nakazu, że urzędy salinarne mają wydawać sól tylko i wyłącznie wyznaczonym ku temu trafikantom, natenczas całą akcyę uważać należy za chybioną, a sprzedaż soli i wszystkie dawniejsze niedogodności nie ulegną żadnej zmianie!

Smocza jama. Rada miejska w Krakowie pozwoliła Janowi Grenzerowi, właścicielowi wojskowej kantyny na Wawelu, wybudować żelazne schody w smoczej jamie i pobierać od publiczności po 10 cent. za zwiedzenie tego miejsca pamiątkowego Po dziesięciu latach schody przejdą na własność gminy m. Krakowa.

Samobójstwa. W Pradze, w zeszłym tygodniu zastrzelił się lekarz pułkowy dr. Józef Weintraub, Lwowianin. — We Lwowie powiesił się onegdaj kapral 11 pułku artyleryi Franciszek Kruszyński. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Skarb. W kamienicy pod liczbą 15 przy ulicy Skarbkowskiej robotnicy, zajęci rozwalaniem starego komina, znaleźli w nim szkatułkę napełnioną złotemi monetami, sznurami pereł i innemi kosztownościami. Znalazcy rzeczy te ukryli, a następnego dnia nie pojawili się ani do roboty, ani do wypłaty, chociaż to była sobota. Właściciel kamienicy p. Niemojowski, fabrykant tutek cygaretowych, dowiedziawszy się od innych robotników o znalezieniu skarbu, doniósł o tym wypadku policyi, która owych robotników wyśledziła i aresztowała. Wypierają się oni, jakoby skarb jaki znaleźli. Zatrzymano ich w więzieniu, a śledztwo wyjaśni tę zajmującą sprawę.

Dodać musimy, że między mieszkańcami tej kamienicy oddawna krążyły wieści o jakimś wielkim skarbie ukrytym w jej murach, a nawet dawna jej właścicielka p. Żukowska przy oddawaniu tej realności p. Niemojowskiemu zwróciła uwagę jego na to, że wuj jej, wielki oryginał, który mieszkał dawniej w tym domu, miał posiadać znaczny majątek w dukatach i innych monetach tudzież kosztownościach. Skarbu tego po śmierci właściciela mimo najskrzętniejszych poszukiwań nie odnaleziono. Zapewne więc ukrył go w kominie i tam go znaleźli robotnicy, zajęci jego rozwalaniem.

Papuga podpalaczem. Przed kilku dniami zdarzył się straszny wypadek w willi baronowej Lodigiani, którego przyczyną była papuga.

Zeszłego piątku około ósmej wieczorem, kiedy służba baronowej znajdowała się na podwórzu, a baronowa sama zajęta była w salonie, papuga w przedpokoju przewróciła wielką lampę, a paląca się nafta oblała jednego z legawych psów, leżących pod stołem na dywanie. Ze straszliwem wyciem porwał się płomieniami okryty pies wybiegł z przedpokoju, wpadł do ogrodu i pędził w kierunku stajni. Inne psy, szczekając i wyjąc, gnały przerażone za nim. Na ten straszny hałas nadbiegła służba, ale nikt nie wiedział co robić; dopiero kucharz rzucił na psa swój fartuch, sądząc, że w ten sposób ugasi płomień. Ale rozwścieklony bólem pies rzucił się na niego i powalił go na ziemię. Wywiązała się straszliwa walka z psem, z którego popalone ciało kawałkami odpadało. Kucharz odniósł głębokie rany w szyję i ramiona. W kilka minut po tem ostatniem wysileniu skończył pies wśród objawów wścieklizny. Również u kucharza wystąpiły wyraźne symptomy tej choroby i wkrótce skonał wśród strasznych męczarni. Baronowa podczas tej okropnej sceny dostała silnych kurczów i dotąd leży ciężko chora.

Gorący deszcz. O ciekawem zjawisku atmosferycznem donosi *Prikasp. Kraj*. Około stacyi Dińskiej, władykaukaskiej drogi żelaznej, spadł deszcz tak gorący, że zwarzył liście na drzewach, a zboże na pniu poczerniało.

Z Rymanowa piszą nam:

Za inicyatywą kolonii leczniczej liczne grono dziatwy kolonijnej udało się dnia 5 sierpnia w rocznicę chwili pamiętnej, gdy pięciu synów Ojczyzny życie swe oddało w ofierze na murach cytadeli warszawskiej, na dominujące nad miastem wzgórze ozdobione stacyami „Męki Pańskiej", by tam złożyć swe modły na intencyę Ojczyzny, braci poległych za wiarę i Ojczyznę, którzy katusze ponoszą zdala od nas, w krainach wygnania Sybiru.

Wzruszający był to widok, gdy spora gromadka dziatwy, rodziny pp. Potockich i Dębickich a także bardzo licznie zgromadzeni goście kąpielowi z dyrektorem i kierownikiem kolonii na czele, posuwała się od stacyi do stacyi. Przed każdą stacyą odczytywano rozmyślania, kończąc śpiewem „Któryś za nas cierpiał rany".

Po przejściu wszystkich stacyi i odśpiewaniu pieśni patryotycznych, rozdano między dziatwę podwieczorek, a potem wśród śpiewów wrócono do zakładu.

Kreśląc tę notatkę, muszę podnieść z naciskiem religijno-narodowy kierunek bardzo sympatycznej instytucyi, jaką jest lecznica kolonia rymanowska, która nie tylko dziatwie swej daje możność odzyskania zdrowia, ale też skutecznie i umiejętnie ćwiczy ducha przyszłych obywateli. *J. M.*

Zmarli. W Baranowie zmarła dnia 4 sierpnia Stanisława Barowa, była nauczycielka, żona kierownika szkoły, na słabość piersiową w 28 roku życia. — Marya z Linków Cozlowa, wdowa po lekarzu, kierowniczka szkoły robót ręcznych, umarła w Tarnowie w 29 roku życia. — Ksiądz Żukotyński, proboszcz rz. kat. parafii krzemienieckiej w ordynacyi hr. Romana Potockiego, wracając ze wsi Albigowej na bryczce, umarł nagle, tknięty apopleksyą. — W Paryżu umarła Róża z Leów Kronenberzyna, wdowa po Leopoldzie Kronenbergu, znanym niegdyś bankierze warszawskim. — Ida ze Starzewskich Madeyska, umarła we Lwowie w 46 r. życia.

Stan powietrza. Termometr + 11° Reaumura o godzinie 7 zrana, w południe + 13 stopni Reaum. Barometr 762. Podnosi się. Od wczorajszego wieczora do dziś do południa padał deszcz z małemi przerwami. Po południu zaczęło trochę się wypogadzać, ale nie na długo.

Fatalna pomyłka druku. Jeden z piemonckich dzienników umieścił niedawno następujące dwie wiadomości:

1) „*Przybycie Giolitti'ego.* Wczoraj przybył tu prezes ministrów, witany na dworcu przez prefekta, burmistrza i licznych przyjaciół. Dzielny wachmistrz żandarmeryi X., zaledwie go zoczył, pochwycił go za kołnierz i mimo próśb i krzyków, zaprowadził do więzienia, ku szczerej radości wszystkich uczciwych ludzi".

2) „*Uwięzienie złoczyńcy.* Wczoraj udało się wreszcie władzy pochwycić sławnego fałszerza monety, Giacomina. Burmistrz, prefekt i wszyscy zaproszeni zbliżyli się, aby uścisnąć mu dłoń, muzyka zaintonowała marsz królewski wśród wybuchów entuzyazmu ludności. Jutro odbędzie się uczta na cześć znakomitego męża".

Czytelnik łatwo odgadnie, że zaszło tu wzajemne przerzucenie kilku wierszy druku i stąd to fatalne nieporozumienie.

Z monologów pantoflarza.

— Cóż do dyabła z temi prawami kobiecemi! Żona tyranizuje mnie, córki tyranizują żonę, a kucharka tyranizuje całą rodzinę. Czyż nie dosyć tych praw kobiecych?...

Teatr. Dziś w poniedziałek po raz pierwszy: „Lunatyk", krotochwila w 3 aktach E. Bluma i R. Toché. — — Jutro we wtorek 8 sierpnia po raz piąty: „Józefina sprzedana przez swe siostry", operetka w 3 aktach P. Ferriera i F. Carré, z muzyką L. Kuhna.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 5 sierpnia.

(*Z*). Po chwilowym zapędzie zwyżkowym, wywołanym wiadomością o przyjęciu francuskiego ultimatum przez rząd syamski, popadły giełdy znów w kompletną stagnacyę. Na naszym targu jest ona tak wielką, jakiej nie pamiętają nawet w najgorszych latach. Są godziny, w których literalnie ani jedna transakcya do skutku nie przychodzi. Ta bezczynność zdziwić powinna tem bardziej, że motywów do daleko sięgających spekulacyi nie brak. N. p. wojna cłowa między Rossyą a Niemcami, czyliż nie dałaby powodu giełdom innymi czasy do wysnuwania daleko idących kombinacyi, albo kongres amerykański, który już za tydzień ma się zebrać. — Wszystkie te okoliczności jednak zamiast wywołać jakikolwiek ruch czy to w zwyżkowym czy w zniżkowym kierunku, cetnarowym ciężarem przygniatają giełdy i odbierają im resztki życia. Wytłumaczyć to się da tylko tem, że giełdy widzą już zdaleka widmo jakiejś ogromnej katastrofy finansowej, która z Ameryki przez Anglię dotrze do Europy.

We Włoszech już czuć jej zwiastuny. W takich warunkach nawet berlińska partya zniżkowców, która przecież ma na swych usługach całą prasę niemiecką, boi się wdawać w spekulacye. Na naszym targu cały ruch ubiegłego tygodnia w walorach bankowych ograniczył się niemal wyłącznie na kredytach, tak jak gdyby inne banki wcale nie egzystowały. W przemysłowych papierach zaś operowano tylko w akcyach fabryki broni w Steyr, których kurs zniżono znów o kilkanaście reńskich. Wtajemniczeni w zakulisowe sprawki giełdy opowiadają, że kampanię przeciw tym walorom prowadzi berliński fabrykant broni Loewe, który w austryackiej fabryce ma nieznośnego konkurenta, zabierającego mu wszystkie zagraniczne obstalunki. Renty falują ustawicznie, jednego dnia podniosą się o 15—20 ct., na to, aby jutro znów się obniżyć. Dziś spadły znów. Z Berlina donoszą, że 1. października rozpoczną się tam znów rokowania o traktat handlowy między Niemcami a Rosyą. Tak więc granice między obu państwami będą zamknięte co najmniej jeszcze przez kilka tygodni.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 337·—, węgierskie 419·50, Anglobanki 149·80, Uniony 250·50, Bankvereiny 121·65, Länderbanki 246·75, Ludwiki 219·—, Czerniowieckie 257·50, Renta papierowa 97·—, srebrna 96·70, austryacka złota 118·80, 4% austr. renta wal. kor. 96·55, węgierska złota 115·70, 4% węgierska renta wal. kor. 94·40, dukat 5·86, 20-frankówka 9·89—, marki 12·21—, ruble 1·28½.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 7 sierpnia (pryw.) Dziś rozpoczęła tu obrady konferencya delegatów rządu austryackiego i węgierskiego, która ma zastanowić się nad odpowiedzią rządu rosyjskiego na propozycyę Austro-Węgier w sprawie zawarcia traktatu handlowego. Elaborat tej konferencyi posłuży za podstawę do definitywnych rokowań między Austryą a Rosyą.

Wiedeń 7 sierpnia. Wczoraj odsłonięto uroczyście pomnik księcia austryackiego Henryka Jasomirgott. Pomnik ten wzniesiony został w nyży facyaty kościoła Szkotów.

Przełożonemu opactwa Szkotów ks. Hauswirthowi, który obchodził wczoraj pięćdziesięcioletni jubileusz kapłański, nadał Cesarz krzyż komandorski orderu Leopolda.

Paryż 7 sierpnia. Wczoraj zapadł wyrok przeciw redaktorowi dziennika *Cocarde* Ducretowi i murzynowi Nortonowi, byłemu służącemu ambasady angielskiej. Akt oskarżenia zarzucał obu, że sfałszowali rozmaite dokumenta, aby rzucić przez to podejrzenie na wybitnych parlamentarzystów francuskich, między nimi na deputowanego Clemenceau, że byli przekupieni przez rząd angielski i działali na niekorzyść Francyi. Obu uznano winnymi fałszerstwa i oszczerstwa i skazano Nortona na trzy lata, a Ducreta na rok więzienia, tudzież na sto franków grzywny każdego. Oprócz tego mają obydwaj solidarnie zapłacić odszkodowanie w kwocie jednego franka p. Clemenceau, który występował jako strona poszkodowana.

Londyn 7 sierpnia. W piątek wymieniono ratyfikacyę ugody, zawartej między Francyą a Syamem. Poseł francuski w Bangkoku Pavie obejmuje jutro napowrót urzędowanie.

Ateny 7 sierpnia. Kanał koryncki otwarto wczoraj.

Rzym 7 sierpnia. *Tribuna* donosi, że w sobotę zachorowali tu wśród podejrzanych objawów dwaj podróżni przybyli z Neapolu. Obu umieszczono w odosobnionym lokalu i jeden z nich umarł.

Radykał Imbriani wybrany został deputowanym z Corato. Kontrkandydata nie miał żadnego.

Zurych 7 sierpnia. Niemieccy i szwajcarscy socyaliści uchwalili nie dopuścić do udziału w kongresie tych socyalistów, którzy nie reprezentują żadnego towarzystwa socyalistycznego. Wykluczeni w ten sposób socyaliści apelować będą do kongresu.

Wczoraj po południu odbył się pochód uroczysty przybyłych na kongres socyalistów, a wieczorem wielki mityng. Policya trzymała się zupełnie na uboczu.

Przyjechali do Lwowa

dnia 7 sierpnia 1893.

HOTEL EUROPEJSKI. C. Zimmermann ze Strassburga. C. Reichart z Wiednia. G. Springer z Wiednia. G. Dietl z Wiednia. H. Landau z Wiednia. F. Lewisz z Neustatu. M. Kaczanowski z Podola rosyjskiego. Baron M. Czechowicz z Mondrugi. Ch. Schor z Jass. K. Schamell ze Stanisławowa. H. Momen z Brukseli. K. Barański ze Sambora.

HOTEL FRANCUSKI. J. Kunaszowski z Perekosy. H. Wachter z Landsberga. Dr. T. Garlicki z Brzeżan. C. Krieg z Wiednia. A. Wybranowski z Czupernosowa. L. Burger z Wiednia. St. Wybranowski z Kimirza. Hrabia Łączyński z Jarosławia. J. Czaykowski z Pietniczan. J. Janicki z Ostrożca. H. Lauterbach z Wrocławia. Hrabia M. Dzieduszycki z Martynowa. S. Schack z Wiednia. M. Kurkowski z Pasieczny.

HOTEL ZORZA. A. Frendowicz z Tłumacza. L. Łęcki z Tarnowa. L. Roschendowski z Warszawy. H. Filipkowski z Tarnopola. J. Binder z Wiednia. M. Banes z Przemyśla. J. Czoderna z Przemyśla. S. Glińska z Warszawy. W. Cybulski z Królestwa Polskiego. Ks. E. Dolnicki z Repniowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Sprostowanie.

Powodem założenia nowego Towarzystwa wzajemnego kredytu w Łańcucie obok istniejącego już od lat dwudziestu Towarzystwa zaliczkowego nie jest wcale polityka „zaściankowa", lecz jest wbrew opinii bezstronnego korespondenta ta okoliczność, że Towarzystwo zaliczkowe nie odpowiada potrzebom kredytowym ludności powiatu.

Łańcucki powiat jest bowiem wedle świadectwa wykazów statystycznych drugim z rzędu w Galicyi co do gęstości zaludnienia, a gdy lud nasz trudni się nadto w wielu okolicach przemysłem domowym i jest w ogóle pracowitym i zapobiegliwym, przeto też potrzebuje więcej kredytu, niż inne okolice naszego kraju.

Słuszności powyższego zdania dowodzi nietylko ten fakt, że Towarzystwo zaliczkowe utworzyło — już po zawiązaniu Towarzystwa wzajemnego kredytu — drugą filię w Przeworsku, ale i ten, że tutejsi kupcy, ba nawet samo Towarzystwo zaliczkowe, starają się o uzyskanie zastępstwa Banku austro-węgierskiego dla powiatu tutejszego.

Dalszą przyczyną założenia Towarzystwa wzajemnego kredytu jest ta okoliczność, że Towarzystwo zaliczkowe nie ułatwiało osiągnięcia kredytu dla swoich członków w sposób równomierny, tj. w stosunku do siły kredytowej członków, lecz według zasady, niemającej nic wspólnego z kredytem! Udzielenie bowiem kredytu lub wypowiedzenie doraźne takowego zależeć miało od tego, czy członek ów jest więcej lub mniej skłonnym do działania po myśli dyrekcyi nietylko w życiu gospodarczem, ale także w życiu publicznem, ba nawet w życiu prywatnem!

Tak głoszą różni interesanci.

W skutek owej zasady pozbawionymi byli kredytu nietylko ci członkowie, którzy jawnie, ale nawet ci członkowie, którzy tylko w gronie kilku osób odważyli się objawić zdanie przeciwne zdaniu głoszonemu przez dyrekcyę Towarzystwa zaliczkowego.

Wolność słowa jest drogim skarbem! i jeżeli inicyatywa do założenia nowego Towarzystwa kredytowego wyszła od ludu, ba nawet od założycieli Towarzystwa zaliczkowego, to jestto dosadnym dowodem, że to ostatnie Towarzystwo minęło się ze swoim statutem i że dotychczasowa niewola sprzykrzyła się już nawet naszemu potulnemu ludowi.

Jak ciężkie jest ramię opiekuńcze naszego Towarzystwa zaliczkowego dla wszystkich warstw społecznych naszego powiatu, które opanować zdołało literalnie wszystkie instytucye publiczne, dowodzi dosadnie także ta okoliczność, że właściciele większych posiadłości uchylili się od przystąpienia do nowo założonego Towarzystwa wzajemnego kredytu, jedynie z obawy, aby wszechpotężny dyktator Towarzystwa zaliczkowego nie podburzał ludu przeciw owej warstwie społeczeństwa.

A przecież, jeżeli kto, to jedynie właściciele większych posiadłości mogliby mieć cele polityczne na oku.

Jeżeli zaś oni nowego Towarzystwa nietylko nie założyli, ale nawet do niego nie przystąpili, to tem jest stwierdzone, że polityka jest o b c ą naszemu Towarzystwu.

W ostatnich latach Towarzystwo zaliczkowe wrzekomo ratowało upadające Towarzystwo dla handlu skór, sukna i wyrobów tkackich w Łańcucie i na ten cel wydało bezowocnie znaczne sumy.

Czy ratunek ów nie odbije się kiedy boleśnie na ratującem Towarzystwie? przesądzać nie chcemy, — ale powszechnem jest u nas zdanie, że upadłe Towarzystwo, na którego czele stał od początku p. poseł B. Żardecki istnieć powinno, bo miało znaczną subwencyę — 800 złr. rocznie, z funduszów publicznych, krajowych, miało tanie kapitały w udziałach członków i tani skład w lokalnościach śp. Sanczkowej.

Wina jego upadku leżeć tedy musi w niedołężnej administracyi, powierzanej w ręce ludzi ślepo swojemu prezesowi oddanych, ale zato fachowo nie wykształconych — i w systemie, wedle którego Towarzystwa jedynie gronu „wybranych" korzyści przynosić mają.

Dalej w mowie będące Towarzystwo zaliczkowe, z powodu parcelacyi dóbr Rakszawa, udzielało w ostatnich dwóch latach prawie wyłącznie pożyczek tym, którzy grunta przez p. posła parcelowane kupowali.

Parcelacya owa przysporzyć miała znaczne, ba nawet nadmierne korzyści, p. pośrednikowi Z., ale powstała wątpliwość, czy przyniesie ona korzyści Towarzystwu zaliczkowemu? skoro otrzymało ono naraz tak wielu członków z biednej gminy, i skoro gmina owa właśnie dlatego, że mieszkańcy jej są przeważnie przemysłowcami domowymi, postradali kapitał obrotowy w przemyśle niezbędny, i rychło go odzyskać nie potrafią, bo ziemi lichej nikt odkupić nie zechce.

Oprócz powyższych interesów wymieniają także wiele innych, gdzie długoletnia dyrekcya Towarzystwa zaliczkowego na inne cele, a nie na cele statutowe uwagę zwracała. — Jeżeli do powyższego dodamy, że koszta administracyi w Towarzystwie zaliczkowem są niepomiernie wysokie, i że poręka członków jest nieograniczoną, to p. „Bezstronny" przyznać powinien, że zupełnie słusznie postąpili owi ludzie, dbający przedewszystkiem o własne mienie, a następnie o dobro ludu — chociaż nie mający patentu na „przyjaciela ludu", iż poszli za głosem inicyatorów i przyłożyli rękę do założenia nowego Towarzystwa kredytowego.

Te same przyczyny pociągają za sobą te same skutki! a najlepszym dowodem tego jest także Rzeszowska kreacya naszego szanownego p. posła (garbarnia) w skutek której były właściciel stracił już całe mienie, a innych ma los podobny spotkać w krótce.

Otóż celem inicyatorów Towarzystwa wzajemnego kredytu było także to, aby już zawczasu powstała i zwolna się rozwijała instytucya kredytowa miejscowa, któraby mogła naprawić złe, w jakie starsze Towarzystwo popadło, a nadto także to, aby zmusić starsze i obecnie wszechwładnie panujące Towarzystwo, by starannie wglądnęło w swoje sprawy, by obecną drogę, po której kroczy, uznało za nieodpowiednią i wróciło na dawną drogę na której pierwotnie z pożytkiem dla powiatu pracowało. Do spełnienia owego zadania, nikt bardziej nie jest powołanym, jak właśnie duszpasterze i ludzie niezawiśli, a ludowi inteligencyą przodujący, i dlatego też niechaj szanowny p. „Bezstronny" przestrogę swoją „Przestańcie, bo się źle bawicie" nie do owych kapłanów, których nasze Towarzystwo już 10 liczy i nie do inteligencyi, którą mianem „innych katolików" traktuje, ale właśnie do swego przyjaciela politycznego skieruje, a wówczas odniesie ona efektowniejszy skutek. Niechaj szanowny p. „Bezstronny" porzuci troskę o los tych, którym Towarzystwo zaliczkowe kredyta wypowiedziało, bo uczyniło ono to nie dla niekorzystnej zmiany ich stosunków majątkowych, lecz z pospolitej zemsty za to, że do naszego Towarzystwa przystąpili. Ludzie majętni — prędzej, czy później kredyt znajdą.

P. „bezstronny" biada też nad losem biednego ludu i nad przewagą żydów w Towarzystwie wzajemnego kredytu, lecz widocznie nieznaną mu jest ta okoliczność, że ów biedny lud tak dostatecznie poznał się na „*swoim przyjacielu*", że od niego tak stroni i pod ochronę nowego Towarzystwa ucieka, że liczbą swoją pokrył już w trójnasób liczbę członków wyznania mojżeszowego.

Naszem zdaniem p. „Bezstronny" niepotrzebnie roni łzy nad dolą p. Bolesława Żardeckiego, bo on sam dał sobie już radę, porzucając już dotychczasową praktykę i powołując do pracy we filii Przeworsku dopiero w lipcu b. r. założonej — nietylko kapłanów, ale także inteligencyę, których dotychczas od udziału w swoich pracach ze szkodą dla społeczeństwa systematycznie wykluczał.

Nauka nie poszła w las i to już zasługa nowego Towarzystwa! W zgodzie, jedności i usilnej a bezinteresownej pracy dla własnego i społecznego dobra — nasza siła! Według tych zasad postępując, nikogo od udziału w pracy, zwłaszcza finansowej — usuwać nie będziemy — ale też rozpoczętego dzieła nie zaprzestaniemy.

Łańcut dnia 28 lipca 1893.

Dyrekcya Towarzystwa Wzajemnego kredytu w Łańcucie, Stowarzyszenia zarejestrowanego z ograniczoną poręką.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 7 sierpnia godz. 2. min. —.

Akcye kred.	336·75	Galicyj. obligi propinacyjne	97·40
Alpiny	53·75	Wied. losy	176·50
Kredyty węg.	419·50	Akcye tyton.	186·—
Anglobanki	150·—	4% Poż. kraj. z r. 1893	97·20
Uniony	249·75	Elbethale	237·50
Ludwiki	219·—	Länderbanki	246·70
Nordbany	288·50	Renta zł. węg.	115·60
Lombardy	105·65	Bankvereiny	121·75
Losy tureckie	48·90	Węg. renta p.	94·05
Staatsbahny	307·—	Ruble	1.28·75
Czerniowieckie	257·50		

Usposobienie stałe.

Z Izby handlowej. Lwów 7 sierpnia 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej gal. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	218	—	221	—
„ Lwow.-czer.-jas. 200 zł. w. a.	257	—	260	—
Banku hipotecz. gal. 200 zł. w. a.	380	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
2. Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. gal. 5% los. w lat. 40	101	—	101	70
Banku hip. gal. 5% z 10% pr.	110	—	110	70
Banku hip. 4½% los. w 50 lat.	100	10	100	80
Banku krajowego 4½% w. a.	100	50	101	20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98	—	98	70
„ „ „ 4% los. w 41½ lat.	98	—	98	70
„ „ „ 4½% „ 52 lat.	100	—	100	70
„ „ „ 4% „ 56 lat.	98	30	99	—
3. Obligi za 100 zł.				
Galic. fund. propinacyjnego 4%	97	60	98	30
Bukow. fund. propinacyjnego 5%	102	25	—	—
Kom. Banku kraj. 5% II emis.	102	25	—	—
Pożyczka krajowa 6%	105	—	—	—
„ „ 4½%	100	30	101	—
„ „ 4%	97	—	—	—
„ „ 4% koronna	97	10	97	80
4. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	50	25	—
Losy miasta Stanisławowa	40	—	—	—
5. Monety.				
Dukat holenderski	5·83		5·93	
Napoleondor	9·81		9·91	
Półimperyał rosyjski	10.—		—·—	
Rubel rosyjski srebrny	1·27¼		1.30¼	
„ „ papierowy	1·27¼		1·29¼	
100 marek niemieckich	60·80		61·40	—

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 czerwca 1893 według zegaru lwowskiego.

Przychodzą do Lwowa:	Pociągi pospieszne		Pociągi osobowe		
Z Krakowa	3.08	6·01	9·36	**6·36**	**9·41**
Z Muszyny-Krynicy via Tarnów (tylko od 1/7 do 31/8 włącznie).	—	—	9·36	—	—
Z Muszyny-Krynicy i Chabówki via Tarnów	—	—	—	—	**9·41**
Z Muszyny-Krynicy via Tarnów lub Rzeszów (tylko od 25/6 do 15/9).	—	6·01	—	—	—
Z Musz.-Kr. przez Stryj	—	—	9·06	**1·08**	—
Z Nadbrzezia i Tarnobr.	—	—	—	**6·36**	—
Z Podwołoczysk i Brodów (na dwor. główny)	2·48	**10·02**	9·46	**6·21**	—
Z Podwołoczysk i Brodów na dw. Podzamcze	2·34	**9·46**	9·21	5·55	—
Z Suczawy	**10·11**	—	7·59	12·51	**7·11**
Z Kimpolungu	**10·11**	—	7·59	—	—
Z Radowiec	**10·11**	—	7·59	—	**7·11**
Z Berhomethu n. S. i Czudyna	**10·11**	—	—	—	—
Z Nowosielicy	—	—	—	—	**7·11**
Z Słobody rung. kopalni	**10·11**	—	—	—	**7·11**
Z Husiatyna via Halicz	**10·11**	—	7·59	—	—
Z Buczacza via Halicz	—	—	—	12·51	—
Z Bełzca	—	—	—	5·26	—
Z Sokala	—	—	8·16	5·26	—
Z Ławocznego, Pesztu, Miskolca, Munkacza, Chyr. i Stan. via Stryj	—	—	9·06	**1·08**	—
Ze Stryja	—	—	**9·52**	—	—
Z Hrebenowa, Chyr., St. i Borysławia via Stryj	—	—	2·38	—	—
Z Brzuchowic	—	—	**5·58**	—	—
Odchodzą ze Lwowa:					
Do Krakowa	3·01	**10·41**	**5·26**	11·11	**7·36**
Do Muszyny-Krynicy na Tarnów lub Rzeszów	—	**10·41**	—	—	—
Do Muszyny-Krynicy na Tarnów (od 1/5 do 31/8)	—	—	—	—	**7·36**
Do Muszyny-Krynicy na Tarnów	—	—	**5·26**	—	—
Do Musz.-Kr. via Stryj	—	—	—	**8·01**	—
Do Nadbrzezia i Tarnob.	—	**10·41**	**5·26**	—	—
Do Podwołoczysk i Brodów (z dworca główn.)	6·44	3·20	10·16	**11·11**	—
Do Podwołoczysk i Brodów (z Podzamcza)	6·58	3·32	10·40	**11·33**	—
Do Suczawy	6·36	—	10·36	3.31	**10.56**
Do Buczacza via Halicz	—	—	—	3·31	—
Do Husiatyna via Halicz	6·36	—	—	—	**10·56**
Do Słobody rungurskiej	—	—	10·36	—	**10·56**
Do Nowosielicy	6·36	—	—	—	—
Do Berhomethu n. S. i Czudyna	6·36	—	—	—	—
Do Radowiec	6·36	—	10·36	—	**10·56**
Do Kimpolungu	6·36	—	—	3·31	—
Do Sokala	—	—	9·56	**7·21**	—
Do Bełzca	—	—	9·56	—	—
Do Borysławia via Stryj	—	—	7·21	10·26	—
Do Ławocznego, Munkacza, Miskolcza, Pesztu, Chyrowa via Stryj	—	—	7·21	**8·01**	—
Do Stanisł. przez Stryj	—	—	10·26	**8·01**	—
Do Hrebenowa i Chyrowa przez Stryj	—	—	10·26	—	—
Do Stryja	—	—	3·41	—	—
Do Zimnej Wody	—	—	4·13	—	—
Do Brzuchowic	—	—	3·51	—	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

86)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

— Droga pani — odezwał się Hugon, wzruszając ramionami — nie przypuszczasz przecież, żebym pozwolił żonie mojej nosić fałszywe klejnoty.

Ciotka zdarła mi dyadem z głowy i zaczęła mu się pilnie przypatrywać.

— Jeżeli te klejnoty są prawdziwe, Hugonie Farguharze — rzekła — to tem większy wstyd dla ciebie. Człowiek w twojem położeniu nie ma prawa trwonić pieniędzy na kupowanie takich kosztowności. Te brylanty w takim razie byłyby warte dziewięć do dziesięciu tysięcy funtów szterlingów.

— Ocenione są na dwanaście — spokojnie objaśnił mój mąż.

— Ale on ich nie kupował, ciociu — wtrąciłam pospiesznie. — Kazał je tylko oprawić inaczej. To są familijne klejnoty. Należały do matki jego i babki...

— Hm! Nie będziesz przecież taką niemądrą, Bab, żeby się w to wystroić.

— Dlaczego nie, ciociu?

— Głupstwo! Takie dziecko, jak ty... któreby powinno dotąd być na pensyi. Ludzie się wyśmiewają.

— To niech się śmieją, ciociu. Zdaje mi się, że jako córka i żona gentlemana, mam prawo...

— Nie rezenuj, Bab. Nie znoszę tego. Ale zdaje mi się, że mogłoby któreś z was zdobyć się na tę grzeczność, żeby mnie poprosić siedzieć, zważywszy, że odwiedzam was po raz pierwszy.

— Niech pani wybaczy — zawołał Hugon, spiesznie przysuwając krzesło. — Tak nas pani zaszła niespodzianie...

— Żeś zapomniał dobrych twoich manier — szorstko odburknęła ciotka — chociaż co prawda, nigdy nie słynąłeś wcale z nich.

— Zawsze pobłażliwa i uprzejma, łaskawa pani — rzekł Hugon, kłaniając się ironicznie.

Ja tymczasem pospiesznie złożywszy szal i zamknąwszy brylanty w puzderku, zaczęłam zdejmować z ciotki płaszcz i futrzane boa, upewniając ją cały czas, jak miło mi jest widzieć ją u siebie.

— Nieprawda, Bab, — odparła podejrzliwie. — Nie jest ci wcale miło widzieć mnie.

— Jakto? najdroższa ciociu...

— Tak, bo ja jestem stara, a ty jesteś młoda; ja jestem szorstka i zgorzkniała, a wy jesteście weseli i szczęśliwi. Nie mów mi! Ja znam świat i ludzi.

— Nie myślisz tego co mówisz ciotuchno.

— Myślę.

— Wiesz, żem cię zawsze całem sercem kochała, a...

— A dziś wolisz te głupie błyskotki, i twoje szkaradne kuce, i twoje szeleszczące atłasy i aksamity, niż mnie.

— Jak śmiesz to mówić, ty niedobra ciociu? Mam ochotę powiedzieć ci, że cię wcale nie kocham, że wcale nie jestem rada widzieć cię u siebie, że nie życzę sobie nawet abyś została u nas na obiedzie, ty, droga, kochana, dobra, miła ciotuchno!

— Nie jestem dobrą — przerwała ostro ciotka — i nigdy nie byłam miłą. Nie zawracaj mi głowy twojemi komplementami, Bab.

— No, więc bądź sobie złą i niemiłą, jak chcesz, ciociu, ale zostań z nami parę godzin — nalegałam, spoglądając ukradkiem na Hugona, aby poparł moje zaproszenie.

— Ja myślę, że pani Sandyshaft zostanie — uśmiechnął się mój mąż.

— Myślisz? — porwała się ciotka. — No, to się waćpan mylisz. Jabym miała zostać z wami na obiedzie, żebyście mnie nakarmili waszemi zagranicznemi paskudztwami? To się po mnie nie pokaże. Wracam do domu, żeby się posilić moim skromnym kawałkiem baraniny... angielskiej baraniny — dodała z naciskiem.

— Ależ ciociu, damy ci...

— Bab przestań. On ci już zatruł żołądek i przyzwyczaiła się do tych obrzydliwości. Ja nie mogę jeść surowej zieleniny... to darmo. Zostawiam to moim wieprzom. Na nic się nie zda nalegać.

— Cóżby tu zrobić, Hugonie, żeby ciotce wyperswadować, że jej nie otrujemy? — rzekłam zafrasowana.

— Zdaje mi się, że pani Sandyshaft zostanie — spokojnie odparł mój mąż — odsłaniając zasłonę u okna i wyglądając na dziedziniec.

— A to dlaczego? — spytała ciotka.

— Dla dwóch przyczyn. Najpierw, że się już ściemniło...

— Mam moją starą, zamkniętą landarę...

— I że mgła na dworze, a stara, zamknięta landara pani tylko co odjechała wschodnią bramą — dokończył Hugon.

— Odjechała! Wielkie nieba! Cóż znowu? Kto śmiał?..

— Ja śmiałem. A druga przyczyna...

— Ale ja nie chcę, nie mogę zostać! Ja nie zostanę! Czy słyszysz, Bab! Zawołaj stangreta! Zawróć go z drogi! Czy słyszysz!

— A druga przyczyna — z niewzruszonym spokojem kończył mój mąż — że mamy dziś łososia na obiad.

Otóż jeżeli była jaka potrawa, którą ciotka moja wyjątkowo lubiła, to właśnie łososia. Oddalenie od miasta było powodem, że z trudnością przychodziło nam w okolicy wystarać się o ryby, a ten gatunek liczył się do rzadkości. Ciotka moja złagodniała. Posądzam ją, że od początku miała ochotę zostać i rada była uchwycić się tego pretekstu.

— Łosoś — rzekła. — Hm! A skąd sprowadzony?

— Prosto z Londynu, dziś rano.

— A jak go każecie przyrządzić? Nie ma lepszej potrawy, jak jest przyzwoicie podana, ale jeżeli domieszacie do tego waszych...

— Każemy go przyrządzić jak zechcesz ciociu — upewniłam ją.

— No, a co więcej dacie mi jeszcze? choć od biedy, mogę i na tem jednem poprzestać, jeżeli reszta obiadu będzie niemożliwą do przełknięcia.

— Zdaje mi się, droga mistress Sandyshaft — rzekł Hugon — że moja żona i ja możemy jeszcze pani zapewnić jako tako upieczonego bażanta. My, rozumie się, żywimy się tylko zupą z jaskółczych gniazd, frykasami z żab, mózgami aligatorów w sosie i duszonemi *cobra di capello*; ale pani nie masz potrzeby przymuszać się do kosztowania tych delikatesów.

Ciotka uśmiechnęła się mimowoli.

— Masz obrzydliwą imaginacyę, Hugonie — rzekła. Ale rzecz, że nieraz, nie wiedząc o tem, jadłeś podobne paskudztwa.

Stanęło więc na tem, że ciotka przyjęła zaproszenie nasze. O! jakże gorzko żałowałam potem, żem nalegała, aby ją zatrzymać.

W przeciągu godziny kucharz z pomocą pani Fairhead przyrządził nam wyśmienity, gospodarski obiad, tak znakomicie podany, że nawet pani Sandyshaft nie mogła powstrzymać się od wyrażenia swego zadowolenia. Hugon wydostał najlepsze wina z piwnicy, a przy deserze kazał postawić na stole małą, bardzo starożytnie wyglądającą flaszkę, całą pokrytą pajęczyną, a umieszczoną na srebrnym postumencie, jak coś nadzwyczajnego.

— Co to masz tutaj? — łaskawie spytała ciotka.

— Sędziwego patryarchę — odparł mój mąż. — Staruszek ten mieszkał niegdyś w piwnicach cesarskich i wraz ze stoma tuzinami braci swoich darowany został bardzo bogatemu żydowskiemu kapitaliście. Kapitalista przeniósł się *ad patres*, a sukcesorowie puścili na licytacyę wina, srebra, książki i wszystkie ruchomości. Z sali licytacyjnej patryarcha wraz z pozostałymi braćmi swymi w liczbie już tylko dwunastu tuzinów, przeszedł z niewoli babilońskiej w ręce znakomitego angielskiego lekarza, słynnego z dowcipu, gościnności i nauki. Lekarz ten był przyjacielem i szkolnym kolegą mojego ojca. Po jego śmierci przypomniał sobie o synu i między innemi datkami zapisał mi w testamencie cenny chronometr, bardzo ciekawą łacińską bibliotekę i ostatnie pozostałe piętnaście butelek tego oto wina. Tipoo, odkorkuj butelkę i przynieś weneckie kieliszki.

Tipoo, który jak posąg wykuty z bronzu stał cały czas za krzesłem pana, cicho spełnił rozkaz i postawił przed Hugonem trzy delikatne jak bańki mydlane, czarki, misternie rzeźbione dokoła. Mój mąż ostrożnie zaczął nalewać w nie drogocenny napój, który jak kropla oliwy osiadał na brzegu.

Ciotka pokosztowała, postawiła kieliszek, znowu poniosła go do ust, powąchała, zbliżyła go do światła, a w końcu rzekła:

— Najznakomitsze wino, jakie zdarzyło mi się pić w życiu. Cóż to za gatunek?

— Cesarski Tokaj.

— I to wszystko prawda, co o nim mówiłeś?

— Co do słowa. Cesarz, to Franciszek I-szy austryacki, kapitalista, to Goldschmidt, a lekarz, sir Astley Cooper.

(Ciąg dalszy nastąpi).

L. 1959.

OBWIESZCZENIE.

W celu zabezpieczenia wykonania budowy domu powiatowego w Sanoku na placu w rynku położonym pod ll. parcel budowl. 229, 228/3, 232/1, 232/3 odbędzie się rozprawa na podstawie ofert piśmiennych **w dniu 14 sierpnia 1893** przedpołudniem o godzinie 11ej w kancelaryi Wydziału powiatowego w Sanoku.

Oferty mają być wniesione najpóźniej do dnia 14 Sierpnia 1893 do Wydziału pow. w Sanoku. W ofercie winien przedsiębiorca podać dokładnie ceny jednostkowe, po których roboty obowiązuje się wykonać w zupełności. Ceny te należy wykazać poszczególnie w przedmiarze robót, przy każdej togoż pożycyi, zaś przy każdym rodzaju roboty w dotyczącej przedziałce przedmiaru, kwotę obliczenia, a nadto umieścić na końcu przedmiaru zestawienie ogólne ceny za jaką obowiązuje się przedsiębiorca całą budowę domu wykonać.

Wypełniony tym sposobem przedmiar stanowić ma integralną część oferty.

Odpis przedmiaru robót otrzyma przedsiębiorca za zgłoszeniem się w kancelaryi Wydziału powiatowego w Sanoku gdzie można przeglądnąć techniczne warunki budowy tudzież plany budowy. Budowa winna być w r. b. wykonaną pod dach, w razie niepogody zaś ma być wykonany tylko cały parter. Zupełne wykonanie budowy winno być wykończone do 1 października 1894.

Do oferty należy dołączyć jako zakład 5% ceny ogólnej, za jaką przedsiębiorca obowiązuje się budowę całą wykonać — w gotówce lub w efektach mających kurs na giełdzie podług kursu obliczonych.

Wogóle zawierać ma oferta wyraźne oświadczenie, że przedsiębiorca poddaje się wszystkim tak ogólnym jak i szczególnym w runkom protokołu licytacyjnego, bez wszelkiego zastrzeżenia i że takowe są mu dokładnie znane.

Z Wydziału powiatowego

Sanok dnia 23 lipca 1893, 2056 1—3

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Kasłowski — Papier braci Fiałkowskich w Białej. — Z drukarni im. W. Manieckiego. — Zarządca. Walenty Hodak.